PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 7 GRUDNIA 1935 R. * NUMER 49 (114)

TREŚĆ:

O STRAŻY PRZEDNIEJ SŁÓW KILKA

Po pełnych nieznajomości rzeczy jeremjadach *Marcholta*, jeden z niedawnych numerów *Czasu* zaszczycił Straż Przednią artykułem wstępnym p. t. *Znowu to samo!* Ponieważ autor artykułu wymienił kilkakrotnie moje skromne nazwisko, komentując niektóre moje oficjalne zarządzenia, uważam za stosowne nie pozostawiać artykułu bez odpowiedzi. Na tematy bowiem „młodzieżowe" tyle się u nas wypisuje rozmaitych bałamuctw i niestworzonych rzeczy, iż w interesie prawdy leży wydobyć z pośród nich to, co trzeba wyjaśnić, co sprostować, a co wręcz przygwoździć jako ignorancję i złą wolę. Wydaje się to w danym wypadku tembardziej koniecznem, iż autor na samym wstępie informuje błędnie opinję publiczną, przypisując mi niezasłużony zaszczyt wprowadzenia w życie własnym reskryptem podstawowych wskazań dla uczestników Straży Przedniej, czyli t. zw. „Dekalogu Strażowego". W rzeczywistości bowiem ów Dekalog został zatwierdzony uchwałą Prezydjum Rady Naczelnej, na czele której stoi, jak wiadomo, Prezes Janusz Jędrzejewicz.

Powodem wyróżnienia Straży Przedniej ze strony *Czasu* jest ukazanie się kolejnego numeru *Biuletynu Organizacyjnego* — jedynego oficjalnego i nieoficjalnego jej wydawnictwa. Zbytecznem jest informować czytelników, iż ani ów *Biuletyn* ani sama Organizacja wcale się autorowi nie podobają. Wręcz przeciwnie — daje on wyraźnie do zrozumienia, iż spodziewał się wkrótce ujrzeć Straż Przednią na marach śmiertelnych, ażeby móc uronić parę łezek nad „jeszcze jednym nieudanym eksperymentem wychowania państwowego"...

Daremnie jednak szukalibyśmy w rzeczonym artykule jakichkolwiek akcentów triumfu, radości i wogóle *Schadenfreude*. Cały artykuł utrzymany jest w tonie wyraźnie minorowym: przebija z niego wszystko — gniew, irytacja, zły humor, zdenerwowanie — tylko nie radość ze spodziewanej generalnej klapy przeciwnika. Przyczyny domyślamy się łatwo — oto ów domniemany kandydat na nieboszczyka bynajmniej, jak się okazuje, umierać nie myśli. Wprost przeciwnie — czuje się coraz lepiej i wcale się nie przejmuje ani objawami dziecinnych chorób ani złowróżbnem krakaniem rozmaitych kościanych dziadków. Stąd więc irytacja, zawód i dąsy...

•

Jeśli chodzi o stronę merytoryczną zarzutów, to stwierdźmy na wstępie pewien paradoks. Oto autor owego „strażożerczego" artykułu pisze się zasadniczo i na założenia ideowe i na metody pracy Straży Przedniej. Dowód jest bardzo łatwy. A więc, po pierwsze — pisząc o nowoogłoszonym Dekalogu, stwierdza, że „wogóle pod tem dziesięciorgiem frazesów może się podpisać każdy". Ergo — podpisuje się i autor. Po drugie — pisząc o metodach pracy, stwierdza, że Straż Przednia robi właściwie to samo, co robią już istniejące dawniej pożyteczne organizacje, jak L. O. P. P., Liga M. i K., koła sportowe, krajoznawcze, naukowe i t. p. Ergo — Straż Przednia robi pożyteczną robotę.

Po tego rodzaju stwierdzeniu możnaby było, właściwie, uważać polemikę za wyczerpaną. Jeśli bowiem ktoś nie ma zastrzeżeń ani co do ideologji, ani co do metod pracy danej organizacji, jeśli się pisze zasadniczo i na jej teorję i na praktykę, to wszystko pozostałe jest rzeczą drugorzędną.

Zbadajmy jednak postawione zarzuty sumiennie i cierpliwie. Podpisanie się pod Dekalogiem Strażowym nie przeszkadza autorowi w twierdzeniu, że jest on „mętny i niewyraźny", że jest wyrazem „mglistości i niejasności", „niewyraźnego zarysu ideowego" i „niewytłumaczonych celów". Zajrzyjmy więc do owego Dekalogu.

Zaraz na wstępie w punkcie pierwszym znajdujemy tezę, że „Straż Przednia jest szkołą służby obywatelskiej młodego pokolenia". Określenie jest zupełnie wyraźne. Punkt drugi precyzuje, jakiemi metodami odbywa się nauka w tej szkole. Czytamy tam mianowicie: „Straż Przednia wychowuje młodzież przez bezpośrednią służbę Narodowi i Państwu". Można się sprzeczać, czy jest to system dobry czy zły, lecz że wyraźny — to pewne. W myśl tej zasady strażowcy rozbijają swe letnie obozy w miejscowościach, ogarniętych przez wrogą Państwu agitację, budują drogi i boiska, kopią rowy, bielą szkoły, fundują bibljoteczki, dożywiają dzieci ze szkół powszechnych, zakładają świetlice, pomagają gospodarzom w polu, wysyłają książki młodzieży polskiej zagranicą i. t. d. i t. d.

Możliwe, że tego rodzaju metody wywołują uśmiech politowania i wyniosłe wzruszenie ramion u osób, dla których nędza życia polskiego i ogrom jego potrzeb jest czemś naturalnem lub nieistotnem. „Byle polska wieś spokojna"... Możliwe, że istnieją skostniali w przedwojennej rutynie pedagodzy, którzy te nieznane tradycyjnej szkole metody wychowawcze skwalifikują w głębi duszy jako niepotrzebne i niezrozumiałe farmazoństwo. Możliwe, że tak jest lub będzie. Lecz gdzież jest tu owa „niejasność i mętność"? Gdzie „niewytłumaczone cele"?...

Lecz idźmy dalej. Punkt trzeci stwierdza, iż „obowiązkiem strażowca jest dobro i honor Polski mieć ponad wszystko". A więc naczelnem kryterjum postępowania nie jest tu ani doktryna (naprz. marxizm), ani dobro poszczególnej klasy (np. ziemiaństwa, mieszczaństwa, proletarjatu), lecz dobro całego Państwa. Oczywiście, można to nazywać rozmaicie. Można nazwać ideologją państwową, można nazwać nacjonalizmem. Socjaliści nazwą to pewnie nawet faszyzmem. Nie przywiązujemy wagi do etykietek. Zbyt dużo wprowadziły one chaosu i zamętu do życia polskiego, zbyt dużo skomplikowały prostych, zdawałoby się, i jasnych zagadnień. Nie chodzi nam o to, jak się będzie nazywał nasz światopogląd. Lecz, że każdy rozumie, o co tu chodzi, to pewne.

Punkt 4 stwierdza, że „Straż Przednia widzi w czynie jedyny sposób służby Państwu". Autor uważa, że jest to frazes. Straż Przednia uważa to za najistotniejszy nakaz. Albowiem bierze ona całkiem na serjo słowa Marszałka: „Li tylko czyn jest moralny". I dlatego najistotniejszym elementem wychowania strażowego jest praca realizacyjna. „Straż Przednia — pisze Adam Skwarczyński w jednym ze swych artykułów — uważa za swe naczelne wskazanie, że uznawać jakąś zasadę, nawet najszczytniejszą, jest jeszcze niczem. Należy ją praktykować, realizować". Dlatego też praca wewnętrzno-ideowa nosi wyłącznie charakter pogłębiania znajomości zagadnień, z któremi strażowiec zetknął się w praktyce. Automatycznie więc wykluczone są owe „pryncypjalne dyskusje" na temat *czto eto żyzń?*, które tak się nie podobają p. red. Mackiewiczowi z Wilna...

•

W szeregu uwag *Czasu* na temat Dekalogu jest pewien passus niezmiernie charakterystyczny. Nie podoba mu się, mianowicie, że w Dekalogu „Polska występuje raz w formie Polski, ponadto zaś jeszcze jako Naród i Państwo. Każdy może się podpisać pod takiem pojęciem Polski: i narodowiec i państwowiec".

W twierdzeniu tem jest cały *Czas*, cała jego mentalność i cała jego tragedja — owo stałe spóźnianie się za rozwojem wypadków. Wiekowy organ nie zauważył bowiem, iż w Polsce zbliża się już ku końcowi „ów sławny proces Rymszy z Dominikanami", czyli sławetny spór: Naród czy Państwo, narodowiec czy państwowiec? Dla Straży Przedniej dylemat tego rodzaju nie istnieje wcale. Wzajemny stosunek Narodu i Państwa jest rzeczą tak zrozumiałą, a co najważniejsze, wyczuwaną, że Organizacja nie odczuwa nawet potrzeby dyskusji na ten temat. Każdy strażowiec rozumie, że służąc czynnie potrzebom Państwa, służy tem samem i Narodowi i że w żaden inny sposób służyć mu nie może. Ta właśnie „bezpośrednia służba Narodowi i Państwu" jest najistotniejszą cechą systemu wychowawczego Straży Przedniej. Z jednej bowiem strony przynosi ta praca pewną sumę korzyści danemu środowisku, z drugiej — żłobi ona głębokie rysy w charakterze strażowca, zmienia jego stosunek do rzeczywistości, uczy go aktywnej postawy wobec życia.

Jak głębokie walory wychowawcze przypisuje Organizacja pracy społecznej, świadczy punkt 10, mierzący jej wartość „dokładnością i sumiennością wykonania". Pod tym punktem aczkolwiek podpisał się autor, lecz go, niestety, nie wykonał w praktyce. Ani bowiem dokładnie nie poznał Straży Przedniej, ani też sumiennie nie przedstawił jej czytelnikom...

•

Lecz idźmy dalej. Punkt siódmy precyzuje stosunek Organizacji do etyki życia zbiorowego. Jasno, wyraźnie, niedwuznacznie stwierdza, że „Straż Przednia stoi na gruncie moralności chrześcijańskiej". I ten się punkt autorowi nie podoba, i to jest zbyt „mętne"!... Zapytujemy wobec tego: a co właściwie chciałby widzieć *Czas* w danym wypadku? Czy stwierdzenie, że do Organizacji mogą należeć tylko katolicy? Zwracamy uwagę, że podobnego rodzaju klauzuli wyznaniowej nie posiada statut żadnej organizacji młodzieży (poza ściśle religijnemi), w tej liczbie i Harcerstwo. A może autor naprawdę sądzi, że do Organizacji nie może być przyjęty ewangelik lub prawosławny? Że niekatolik nie ma prawa kochać Polski i pracować dla Państwa?

Punkt 5 Dekalogu stwierdza, że Straż Przednia „buduje wartość zbiorowości na wartości jednostki ludzkiej". Dla autora *Znowu to samo* jest to, oczywiście, beztreściwy frazes. Dla ludzi, umiejących transponować założenia teorji na płaszczyznę praktyki, jest to rzecz istotna i zasadnicza. Zauważmy mimochodem, że jest to teza całkowicie zgodna ze światopoglądem chrześcijańskim, broniącym praw i godności jednostki ludzkiej przed zakusami totalnych systemów dyktatorskich. Sedno rzeczy polega na tem, że tego rodzaju sformułowanie przekreśla raz na zawsze możliwość przekształcenia się Straży Przedniej w tak zwany „ruch masowy", wzorowany na pewnych popularnych „ruchach" zagranicznych, a oparty nie na „wewnętrznym nakazie moralnym" i nie na „poczuciu odpowiedzialności jednostki", lecz na zewnętrznym rozkazie, przymusie i ślepym posłuchu.

Wnikliwi obserwatorzy polskiej rzeczywistości zauważą bez trudu, że jest to zasada, przenikająca dziś całą strukturę życia polskiego, zaczynając od armji i form ustrojowych, a kończąc na systemach wychowawczych. Jest to logiczną konsekwencją naszej sytuacji demograficznej, politycznej i geograficznej. Stawiać na masy, jak to czynią nasi sąsiedzi ze wschodu i zachodu, nie możemy. Arytmetyka jest tu wyraźnie przeciwko nam. Musimy więc stawiać na jednostkę, na jej wartość. *Nie na ilość, lecz na jakość.* Tej właśnie podstawowej zasadzie polskiej racji stanu daliśmy wyraz na naszym skromnym odcinku. Są to rzeczy zbyt elementarne, ażeby je należało uzasadniać ludziom, umiejącym myśleć kategorjami państwowemi.

•

W długim szeregu rekryminacyj *Czasu* pod naszym adresem znalazła się i obawa, czy strażowcy dobrze wykonają pracę w terenie, „gdy jadą na te wycieczki wyposażeni w aparaty projekcyjne i filmowe". Znalazł się i zarzut innego rodzaju: „Nie wiemy, za jakie pieniądze prowadzona jest ta akcja. Jeśli z pozycyj na oświatę pozaszkolną, to lepiej byłoby te pieniądze i te aparaty dać w ręce fachowców, którzy ich nie mają tak wiele".

Możemy zapewnić *Czas*, że obawy jego są płonne. Kulturalno-oświatowa akcja Straży Przedniej nie jest płatna. Tam, gdzie trzebaby było zapłacić zawodowemu prelegentowi, tam Straż Przednia pracuje bezpłatnie. Jeśli ta akcja rozwinie się szerzej, to kto wie, czy nie uda się nawet zaoszczędzić pewnych sum, przeznaczonych na oświatę pozaszkolną. Możemy również zapewnić, że ani jeden grosz z tych sum nie poszedł na zakup aparatów projekcyjnych dla Organizacji. Aparaty te posiada dotąd, niestety, tylko kilka zespołów. Te zaś, które istnieją, są albo zakupione ze składek uczestników przy pomocy Kół Przyjaciół, albo poprostu zbudowane własnym przemysłem. W omawianym numerze *Biuletynu* znajduje się nawet specjalny, poświęcony temu zagadnieniu, artykuł, zakończony hasłem: „Budujemy tani aparat projekcyjny „Strażak" ". Czyżby autor dziwnym zbiegiem okoliczności, przegapił ten artykuł?

Co do wątpliwości autora, czy aby kto inny nie wykona tych prac lepiej od Straży Przedniej, to z całą lojalnością przyznajemy, że strażowcy mogą pewne prace wykonać gorzej od doświadczonych fachowców. Lecz przecie poto właśnie wstąpili do Organizacji, ażeby się nauczyć porządnie pracować społecznie. Dlatego właśnie została założona Straż Przednia, że tych społeczników-fachowców jest w Polsce stanowczo za mało, i że należy w szybkiem tempie powiększyć ich kadry, jeśli chcemy naprawdę odrobić nasze rozpaczliwe zaległości.

Zresztą, jak to stwierdziliśmy, zastrzeżenie zasadniczo przyjmujemy. Możliwe, że są ludzie, którzy pracą społeczną pokierują lepiej od naszych instruktorów. Możliwe, że znajdą się fachowcy, lepiej się orjentujący w pracy kulturalnej na wsi, bo znający lepiej wieś i jej potrzeby. Naprzykład ziemianie. Możliwe, że znajdą się ludzie lepiej rozumiejący robotnika i warunki jego życia, bo stykający się z nim bezpośrednio. Naprzykład przemysłowcy. Chętnie skierujemy naszych uczestników na przeszkolenie do ich ośrodków pracy społecznej. Niech pojadą nasi wychowankowie do dworków ziemiańskich, aby przyjrzeć się pracy w założonych tam świetlicach dla dzieci chłopskich. Niech się przypatrzą, w jaki sposób prowadzi dwór akcję zwalczania analfabetyzmu na wsi, jak dąży do podniesienia kultury materjalnej chłopa, jak się opiekuje szkołą powszechną, w jaki sposób dożywia dzieci wiejskie. Niech nasze uczestniczki nauczą się od córek fabrykantów, jak się prowadzi świetlicę dla dzieci robotniczych w ośrodkach przemysłowych. Pojedziemy na tę naukę bez cienia zawiści, uprzedzenia lub niechęci.

Nie wiemy coprawda, dlaczego tak się złożyło, że w tych miejscowościach, gdzie pracowała Straż Przednia, nie natknęła się

ona ani razu na tego rodzaju ośrodki. Tak jakoś się dziwnie złożyło, że nikt inny nie zaopiekował się dziećmi z tych szkół powszechnych na Polesiu które objęła swą akcją Straż Przednia. Nikt inny nie posłał im książek, pomocy szkolnych, zabawek i bucików. Jakoś zabrakło na tym terenie osób i organizacyj, którym robimy, według *Czasu*, szkodliwą konkurencję... I ponieważ nie było tam nikogo, więc poszła Straż Przednia. Jej zespoły drogą własnych ofiar i zbiórki skompletowały bibljoteczki, drogą groszowych składek zakupiły prezenty. Gdy na szali dobra publicznego zabrakło talentu srebra bogacza, został tam rzucony wdowi grosz ubogiego.

°

Zwróćmy uwagę jeszcze na jeden szczegół, charakteryzujący może najdobitniej „uczciwość" autora i wartość jego metod polemicznych. Oto, kwestjonuje on wogóle, w pewnem miejscu, fakt prowadzenia przez Straż Przednią pracy realizacyjnej w terenie. Pisze on tak: „Widzimy na zdjęciach tę pracę terenową: gra w siatkówkę". Ponieważ we wspomnianym numerze *Biuletynu* niema wogole zdjęcia z żadnej gry sportowej, domyślamy się, że chodzi tu o zdjęcia z broszury p. t. *Straż Przednia na wsi — lato 1935.* Na str. 15 widzimy tam istotnie zdjęcie z obozu żeńskiego w Ludwipolu na Wolyniu z napisem: „Koło świetlicowe przy pracy". Fotografja przedstawia cztery uczestniczki, uczące gry w siatkówkę jedenaścioro małych dziewczynek wiejskich.

Pominmy fakt, że na propagandę sportu wśród ludności wiejskiej inaczej od *Czasu* zapatruje się Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego. Możliwe, że autor jest przeciwnikiem sportu. Pomińmy również, że to ukraińskie dziewczynki przyszły do polskich uczenic na naukę i zabawę. Możliwe, że autor jest wrogiem zbliżenia z Ukraińcami. Ale w tej samej broszurze na dwie fotografje z pracy kół sportowych przypada czternaście zdjęć, przedstawiających ciężką pracę fizyczną strażowców. Ale, oczywiście, o tych pracach autor nie pisze, tych zdjęć nie komentuje. Znacznie wygodniej jest, wiedząc, jak się ma rzecz w istocie, przedstawiać społeczeństwu Straż Przednią jako organizację, spędzającą czas na grze w siatkówkę za państwowe pieniądze... Ocenę takiej metody postępowania pozostawiamy ludziom uczciwym.

°

Zdajemy sobie sprawę, że w stosunku do pewnego gatunku publicystów wszelkiego rodzaju logiczne argumenty są bezcelowe. Dlatego też nie będziemy tłumaczyli autorowi, na czem polega praca obozów Straży Przedniej. Zastosujemy tu metodę inną: pozwolimy sobie, mianowicie, zaprosić autora i innych krytyków Straży Przedniej na jeden z naszych letnich, dowolnie wybranych obozów „w pięknych okolicach Podkarpacia lub Wileńszczyzny", gdzie się spędza uroczo czas na „grze w siatkówkę" i innych przyjemnych sportach. Gwarantujemy im, że nie spotkają go z naszej strony żadne przykrości ani szykany. Gość w dom — Bóg w dom. Ale pod jednym warunkiem. Pod tym, mianowicie, że autor weźmie udział we wszystkich zajęciach obozowych. Że w godzinach pracy realizacyjnej weźmie łopatę, siekierę lub kosę i pójdzie razem z nami w teren. I że będzie pracował w pocie czoła, gdy słoneczko będzie pięknie świeciło, a brzeg rzeki zapraszał do beztroskiego plażowania... Że pójdzie razem z nami na wieś z pogadanką i ogniskiem, że będzie pisał do gazetki obozowej i pracował w spółdzielni... Zapraszamy go całkowicie *gratis.* Ale niech jednak pamięta, że za pobyt na obozie uczestnicy płacą. Płacą za udział w obozie, na którym muszą pracować... W obozie, na którym nikt ich przebywać nie zmusza. Bo Organizacja nie jest przymusowa. Bo nawet pracę swoich członków opiera nie na przymusie, lecz na „wewnętrznym nakazie moralnym", jak mówi Dekalog...

I niech się wówczas autor zastanowi, ale tak uczciwie, z ręką na sercu, czy to naprawdę „już było"?... Czy to naprawdę „znowu to samo"? Czy naprawdę niema w tem żadnych nowych wartości, żadnego śladu nowej metody? I czy nieudane próby politycznego organizowania się młodzieży mogą mieć jakiś wpływ na Organizację, wychowującą swych członków — przez pracę?

A jeśli w pewnej chwili zrebelizują w nim skrupuły, jeśli w innem świetle przedstawi mu się jego artykuł i w inny już sposób zacznie oceniać strażowy wysiłek, to wówczas przebaczymy mu po chrześcijańsku wszystko! Niech przyjeżdża wówczas na nasz obóz nie jako niechętny obserwator, lecz jako przyjaciel! Może wówczas z własnej ochoty zechce wziąć łopatę na ramię i razem z nami pójść wesołą gromadą w teren. Może z własnej woli zechce przy wieczornem ognisku posłuchać piosenek o Marszałku, albo o tych „rycerzach od kresowych stanic", co to przed wiekami tych ziem ukrainnych bronili?... I kto wie, może nawet wraz z nami — zaśpiewa Pierwszą Brygadę?

WITOLD IPOHORSKI-LENKIEWICZ

CZTERDZIEŚCI I CZTERY

I

Nieprawda, widzenie ks. Piotra nie zawiera w sobie nic dowolnego, nic zbytecznego i nic niezrozumiałego! Wszystko jest w niem konieczne! I wszystko jest w niem zrozumiałe.

Trzeba tylko mieć czułą wyobraźnię i wiedzieć o wszystkiem, co w niej w czasie czytania zachodzi, i ufać temu, co w niej w czasie czytania zachodzi.

URYWKOWOŚĆ WIDZEŃ

Gdy czytam ten niezwykły tekst, dzieje się tak, że widzenie, które we mnie pewne wiersze wywołały a które skłonny jestem rozbudowywać dalej, nagle na tej samej drodze rozbudować się nie da, w żaden sposób nie da się. Natomiast od tej chwili zupełnie wyraźnie wyłania się nowe widzenie i nabiera szczegółów. Ale znowu następuje chwila, w której urywa się i ono, a, gdy skłonny jestem rozbudowywać je dalej, stawia opór i ani rusz nie da się wcielić w wyłaniające się już widzenie następne. Otóż takie urywanie się widzeń biorą niektórzy czytelnicy za niemoc odgadnięcia intencji autora, a tymczasem to rwanie się jest właśnie jego intencją. I wielkim czynem poetyckim.

Gdy na podstawie własnych przeżyć i rozmyślań dochodzimy do wyników, któremi otwieramy arcydzieła, znajdujemy największe ich wartości. W odezycie *Nowe Usta* użyłem dla nazwania pewnych tworów wyobraźni słowa „widzenie"; zmuszony potem do szczegółowszych wyjaśnień, jako jedną z cech widzeń podawałem ich urywkowość, ich niezrastanie się w t. zw. obrazy poetyckie; na cechę tę wskazywałem jako na przejaw pokrewieństwa widzeń poetyckich z naturą zemocjonowanej wyobraźni. Otóż w wielkiem widzeniu, które Mickiewicz dał w części III *Dziadów*, znajduję takie właśnie zbliżenie się do natury wyobraźni poprzez urywkowość wizualną.

Że w okresie pisania III części pochłonięty był Mickiewicz śledzeniem życia wyobraźni, tego dowodzi całe to dzieło. Całe! Obszerność miejsca, jakie zajmują w niem widzenia i widziadła senne, bije w oczy, prolog zaś świadczy wyraźnie, że Mickiewicz życie wyobraźni badał i że doszedł do wyników, których był niezachwianie pewny.

Zastosowanie tych wyników do poezji było aktem nowatorstwa we wzorowem znaczeniu. Trzeba było zerwać z najgłębiej umocnionemi konwencjami, z ustaloną budową zdania poetyckiego i z ustaloną budową tworów wizualnych. Zadanie było olbrzymie, przełomowe. Przed Mickiewiczem nie postawił go sobie nikt, i — jeśli mnie moje wiadomości nie mylą — nikt wogóle w poezji światowej. Po nim zaś podejmą je dopiero najbardziej awangardowe utwory poezji nam współczesnej, postawią je radykalniej, rozwiążą je radykalniej i będą nowym etapem na drodze zbliżenia się do natury wyobraźni i uczuć.

Lecz czy przyjęcie urywkowości, jako cechy widzenia, ułatwia nam zrozumienie tekstu Mickiewiczowego? Tak, bo przyjąwszy je, nie biadamy nad owem rwaniem się widzeń, które towarzyszy naszemu czytaniu, i nie spychamy z wyobraźni tego, co się rwie, lecz przeciwnie uwzględniamy te urywki, uważamy, że należą do istoty rzeczy, przypisujemy im ważność i wcielamy je w bieg zdarzeń wyobraźniowych, a wtedy rzecz całą widzimy nieco inaczej niż ją widziano dotąd. Mianowicie: W rozgłośnej scenie męczeńskiej, którą widzi ks. Piotr, rozróżniano dotąd tylko dwa składniki: Chrystusa i Polskę; jeśli jednak uwzględni się wszystkie urywki widzeniowe, jakie przy lekturze powstają, dostrzeże się jeszcze składnik trzeci: owego zagadkowego męża, owego obrońcę i wskrzesiciela, któremu na imię czterdzieści i cztery. Po dostrzeżeniu tego trzeciego składnika sceny męczeńskiej, wszystkie szczegóły tej tylekroć analizowanej sceny stają się zrozumiałe. Nie wyjaśniam ich tutaj, bo choćbym dla tych wyjaśnień zdecydował się zagarnąć jaknajwięcej miejsca, wszystkich subtelności widzeniowych nie zdołałbym przedstawić. Nie przekonam nikogo, kogo nie przekona lektura.

ZAGADKOWY MĄŻ ZNAJDUJE SIĘ WEWNĄTRZ DZIEŁA

Gdy część III czyta się z pasjonującem zaciekawieniem czytelniczem, ma się najwięcej szans przeniknięcia jej. Trzeba przeżywać kolejne przechodzenie scen w siebie, a wraz z niem troski o losy figur.

Kto tak czyta to dzieło, tego przy czytaniu proroctw ks. Piotra musi opaść myśl, że prorokowanym przez niego wskrzesicielem Polski ma być Konrad. Nie Czartoryski, nie ten czy inny Napoleon, nie LUD, — wogóle nikt z poza dzieła.

Bo trwa w nas wspomnienie olbrzymiego człowieka, który w obronie swego narodu nie cofnął się przed kłótnią z Bogiem. Ten człowiek przekonał nas wówczas o swej wielkości, pozyskał nasze serca i naszą wiarę, i posiada je odtąd niezachwianie. Odtąd raz na zawsze ufamy mu, i to jest dla wszystkich dalszych spraw rozstrzygające. Gdy ks. Piotr kreśli gigantyczną postać wyniesioną ponad ludy i króle, wcale nie czujemy, aby to miała być postać wyższa od tej, jaką ujrzeliśmy poprzednio w walce z Bogiem.

W tym samym kierunku zwraca nasze myśli scena, która bezpośrednio poprzedza wizję. W zdecydowany sposób nastawia nas ona na Konrada. Z tego, co mówi Ewa, wynika, że młode pokolenie *wyróżnia* Konrada z pośród wszystkich młodzieńców, więzionych w wileńskim klasztorze; że podczas gdy z innymi tylko współczuje, jego kocha, wyjątkową miłością kocha. Czujemy, że kompozycyjną funkcją tej sceny jest przygotowanie nas na gigantyczne *wyróżnienie*, jakiego w stosunku do Konrada dokona za chwilę ks. Piotr.

No a w końcu: Czytelnik, reagujący na dzieło spontanicznie, skłonny jest owego zagadkowego męża szukać w samem dziele, a nie poza niem. I ten czytelnik ma rację. Przeczyłoby logice artystycznej, przeczyłoby fundamentalnym zasadom kompozycji, gdyby jeden ze szczytowych momentów dzieła zawierał coś, co leży poza dziełem lub co poza niem znajduje wyjaśnienie. Ani Czartoryski ani Napoleon ani nikt podobny! Wielki zagadkowy mąż znajdować się musi wewnątrz dzieła, wewnątrz!

Lecz kogoby te spontaniczne skłonności nie przekonały, temu możnaby podać tuzin „dowodów". Krótko dadzą się sformułować te:

1) Ks. Piotr zapowiada, że wskrzesiciel narodu pochodzić będzie z wygnańców, wywiezionych na północ „tłumem wozów". Otóż pod sam koniec dzieła dowiadujemy się, że tak właśnie wywieziono więźniów klasztoru wileńskiego. Wśród nich więc należy szukać zagadkowego męża. A jeśli wśród nich, to może nim być tylko Konrad.

2) Ks. Piotr zapowiada, że jeden z wygnańców ujdzie i że ten właśnie wyrośnie na obrońcę i wskrzesiciela. Otóż w końcowej scenie dzieła słyszymy, że jeden z więźniów, wiezionych na północ, oderwał się od reszty. Wprawdzie kobiecie, która to widzi, wydaje się, że jedzie ku niej, ale wkrótce okazuje się, że jest to kobieco błędne tłumaczenie ważnego kroku młodzieńca, z różnych zaś szczegółów wynika, że więźniem, który oderwał się od reszty, był dawny Gustaw, więc Konrad.

3) Ks. Piotr widzi królów, którzy krzyczą:

> Potęp i wydaj go męce;
> Krew jego spadnie na nas i na syny nasze;
> Krzyżuj Syna Maryi, wypuść Barabasze—

Tych Barabaszów uznali komentatorowie za miejsce nieumotywowane, dowolne, niezrozumiałe, jako że nie znajdowali możliwości zastosowania tego szczegółu do historji Polski, skoro nie było w niej nigdy sytuacji, w której inny naród miał być w miejsce Polski uwolniony. Otóż: przyjąwszy, że scena męczeńska zawiera prócz dostrzeganych w niej dotąd składników Chrystusa i Polski jeszcze składnik trzeci, składnik męża wybranego, zrozumiemy owo miejsce barabaszowe: pozostaje ono w ścisłym związku ze składnikiem Konrada. Konrad osadzony jest przecie w więzieniu!

Może te „dowody" — hm — „rzeczowe" wykażą słuszność myśli spontanicznych.

Pewien wybitny aktor miał na scenie krakowskiego teatru wystąpić gościnnie w roli ks. Piotra. Dla lepszego zdania sobie sprawy ze sposobu, w jaki rolę swą ujmie, postanowiłem przeczytać *Dziady* przed przedstawieniem. Pech sprawił, że aż do ostatnich kwadransów przedspektaklowych brakło mi czasu na zajęcie się dziełem. Dopiero w ostatniej chwili udało mi się wziąć książkę do ręki. Mogłem już tylko rzucić się na widzenie ks. Piotra. Było to pierwsze spotkanie z nim od czasów szkolnych. Byłem rozgorączkowany zaciekawieniem, co też w niem znajdę. Czytałem w szczelnem skupieniu, szybko, łapczywie, drżąco. I gdy przeczytałem wiersze:

> A imię jego będzie czterdzieści i cztery.
> Panie! czy przyjścia jego nie raczysz
> przyspieszyć?

gdy przeczytałem te wiersze, naszła mnie myśl, że chodzi tu o rok 1844. Czynnikami, które tę myśl podniosły, było słowo „będzie" i słowo „przyspieszyć". To „będzie", które oznacza czas przyszły, i to „przyspieszyć", które oznacza niecierpliwe czekanie, nastawiły mnie w sposób zdecydowany na— czas.

Gdy tę scenę czytałem później, pojawiło się we mnie inne przypuszczenie: że chodzi tu o 44-y rok życia Konrada. I to przypuszczenie pojawiło się błyskawicznie jak tamto, i dokładnie w tem samem miejscu, i pod wyraźnem działaniem słów „będzie" i „przyspieszyć".

Przez chwilę uważałem za obowiązek wybrać z dwu przypuszczeń jedno, ale wkrótce powiedziałem sobie, że, skoro oba pojawiły się we mnie, to nie wykluczają się wzajemnie.

Późniejsze zastanowienia utwierdziły mnie w moich odczuciach.

Przedewszystkiem: Z pośród hipotez, mających wyjaśnić zagadkową cyfrę, nie mogę przyjąć żadnej, opartej na nauce o liczbach. Wszystkie filozofje liczbowe i wszystkie tajemne wiedze liczbowe uważam w tym wypadku za wykluczone. Bo uważam za wykluczone, aby Mickiewicz zajmował się przenikaniem natury liczb. Człowiek, który, tak jak on, miał dla liczby żywiołową nienawiść, który zawsze wyrażał się o niej najbardziej wrogiemi słowami, który w tejże części III, w wielkiej improwizacji, wymienia ją w bezpośredniem sąsiedztwie z „trupiem ciałem", — nie, nie!

A jednak miał poeta dokoła siebie ciągle mistyków i ich wiarę w liczby. Prawda, ale brał on z mistyki tylko to, co w sposób prosty tłumaczyło zjawiska ludzkie, właściwości ludzkich dusz i ich rozwijanie się. To samo uczynił z mistyczną teorją liczb. Wziął z niej tylko to, co samo przez się wiązało mu się z jego własnemi spostrzeżeniami i z przekazanemi wiarami prostemi, więc — jak kiedyś wierzyć będzie w pomyślność pewnych dni kalendarzowych — tak teraz wierzy w jakiś błogosławiony rok stulecia lub w jakiś błogosławiony rok jednostki.

Jaką konkretnie miała być liczba, oznaczająca takie lata, o tem zadecydowały zapewne pisma Saint-Martina. Dużo znajdował w nich poeta tez o skomplikowanych, zawiłych związkach, zachodzących między liczbą a człowiekiem, ale tezą, która w prosty sposób dawała się przyłożyć do życia jednostek i narodów, była ta: *Toute action, tout mouvement, toute progression est quaternaire.* Czwórkowość jako zasada głównych momentów życia, jako zasada wszelkiego ruchu i postępu, — to była idea, która mogła Mickiewicza zafrapować. Ale przemówić do przekonania nie mogłaby mu, gdyby trzeba było ją rozumieć jako jakieś uczone składanie cyfr w czwórki. Nie! pozyskać go mogła tylko swą postacią najbardziej życiową, poprostu jako czwórkowa okresowość życia, jako idea ważności czteroleci, oraz swą postacią najbardziej widzialną, jako czwórka sama, czwórka widziana. Tak można wytłumaczyć w sposób naturalny powstanie liczbowej nazwy, która ukazuje się w wielkiem widzeniu. Może zbytecznem nie będzie dodać, że lata kalendarzowe stulecia, które bieży, nazywa się zwyczajnie dwiema ostatniemi jego cyframi, że więc dla Mickiewicza rok 1844 nazywał się poprostu czterdziestym czwartym.

Że sprawa oznaczenia czasu, w jakim miało dokonać się wskrzeszenie, musiała być dla Mickiewicza sprawą pierwszorzędną, to chyba jasne. Niezrozumiałem byłoby, gdyby było inaczej. Pytanie, kiedy nastąpi wyzwolenie, kryło się w duszach wszystkich zarówno w kraju, jak i na emigracji, i nieraz zapewne wychodziło na usta właśnie w obecności wielkiego Adama. I Adam musiał wystąpić z wróżbą daty. Decydując się na to wystąpienie, podejmował najtrudniejsze zadanie, jakie narzucała mu jego droga prorokującego wieszcza. Najtrudniejsze zadanie, jakie wieszcz może sobie postawić, spełnił. Był to tryumf jego cudownej odwagi.

NAWIAS: WGLĄD W NIENAPISANE CZĘŚCI *DZIADÓW*

Myśl, że wskrzesicielem, pojawiającym się w widzeniu ks. Piotra, będzie Konrad w 44-ym roku życia lub tenże Konrad w roku 1844, wyrasta do tego stopnia z wnętrza samego dzieła, że odsłania nam nawet plan dalszych, nienapisanych przez poetę, części *Dziadów*.

Naszym oczekiwaniom czytelniczym narzuca się przypuszczenie, że części te miały zajmować się wzrastaniem Konrada i jego kroczeniem ku akcji wskrzeszenia. Widzenie ks. Piotra zawiera w sobie zapowiedź zdarzeń, które miały stać się w przyszłych częściach dzieła. Jak swego czasu (*Tędy* str. 241) wskazałem, że nawoływania Guślarza w części I umożliwiają zrekonstruowanie planu poetyckiego niewykończonej tej części, tak w widzeniu ks. Piotra dopatruje się antycypacji dalszych ciągów części III.

Jeśli przyjmiemy, że tak jest, wówczas ukaże się nam także sposób, w jaki autor zamierzał połączyć martyrologję narodu z obrzędem *Dziadów*, i wyjaśni się sprawa, która zawsze tak bardzo dolega czytelnikom i badaczom. Konrad mówi o sobie w więzieniu:

> Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,
> Ale wtłoczą na duszę — ja będę wygnany!
> Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół
> tłumie.
> Ja śpiewak, — i nikt z mojej pieśni nie zrozumie
> Nic, — oprócz niekształtnego i marnego dźwięku.
> Łotry, tej jednej broni z rąk mi nie wydarły,
> Ale mi ją zepsuto, przełamano w ręku;
> Żywy, zostanę dla mej ojczyzny umarły.

Główny motyw całych *Dziadów*, motyw żywego-umarłego, pojawia się tu w nowej odmianie: jako motyw wygnańca, „umarłego dla ojczyzny". Ponieważ zagadkowy mąż, którego widzi ks. Piotr, ma działać na wygnaniu, narzuca się myśl, że w nienapisanych częściach *Dziadów* miał Konrad, pracujący nad wyzwoleniem męczonej ojczyzny, pojawiać się na obrzędzie Dziadów jako upiór-wygnaniec.

PIERWSZY ODPOWIEDNIK KONRADA-ZBAWCY

W każdem dziele literackiem, które wywodzi się z rzeczywistości, figurom literackim odpowiadają jacyś ludzie. Z samej postaci Konrada wynika, że odpowiadać jej może tylko jeden człowiek.

Gdybyśmy nawet nie mieli relacji Goszczyńskiego, nie ulegałoby żadnej wątpliwości, ale to żadnej, że w czasie pisania części III odpowiednikiem prorokowanego zbawcy widział Mickiewicz samego siebie.

Że — jak ja czuję — zbawcą tym widział się dopiero w 44 roku życia czy też w roku 1844, to tłumaczy się ówczesną jego młodością. Nie zapominajmy, że Mickiewicz napisał III część mając lat 34! Mimo wyjątkowej sławy, jaką się cieszył, mimo kultu, jaki dokoła niego roztaczano, nie mógł jeszcze liczyć na posłuch. Wiele śmiałości dodawał mu niewątpliwie przykład Napoleona, który miał trzydzieści kilka lat, gdy w r. 1804 sięgnął po godność cesarza Francuzów, a z którym niewątpliwie niejeden raz w ciszy samoocen zestawiał się, bo jest cechą wielkich, że z wielkimi, którzy ich poprzedzili, zestawiają nietylko swą wysokość ale i etapy drogi. A jednak mimo bodźca, jakim był dla niego przykład napoleoński, miał w sobie zahamowania młodości, i ich to refleksem są w dziele figury duchów, równoważące „pychę" Konrada.

Przyjmując, że Mickiewicz miał na myśli równocześnie swój 44-ty rok życia i rok 1844, nie przyjmuję bynajmniej rzeczy niemożliwej. Uprzytomnijmy sobie, że wiek Mickiewicza rósł niemal równolegle z wiekiem stulecia. W przyszłej dacie wskrzeszenia zlewały się niejako dwie czterdziestoczwórki. Widzenie wielkiej liczby byłoby więc zgodne z naturą całego widzenia ks. Piotra; zawierałoby urywki widzeniowe, zachodzące na siebie, nie odgraniczone od siebie wyraźnie, nie rozrastające się w oddzielny, całkowity obraz.

EX POST

Jeśli w tem, co tu piszę, mam rację, to w późniejszem życiu Mickiewicza wiele powinienby znaczyć czas, w którym ukończył 44-ty rok życia, a jeszcze więcej powinienby znaczyć rok 1844. Otóż i jeden rok i drugi wiele w jego życiu znaczyły, i to w wyraźnym związku z zapowiedziami, jakie co do nich uczynił przed laty.

TADEUSZ PEIPER

TYTUS BENNI

(* 1877 — † 1.XI. 1935).



Bywają ludzie jednej nauce oddani, równocześnie tej nauki w oczach społeczeństwa jedyni reprezentanci, niemal jej symbole. Takim w fonetyce był Tytus Benni.

Fonetykę, naukę o głosowej stronie języka, stosowali wprawdzie od połowy wieku XIX wszyscy lingwiści, ale do wiadomości szerszego ogółu polskiego doszła ona dopiero na początku XX wieku w związku z polskiem szkolnictwem. Z tamtych lingwistów z zamiłowaniem głosił ją (tak!) Baudouin de Courtenay, nadawszy jej ściślejszą nazwę antropofoniki; ale jemu szło przedewszystkiem o jej ogólne znaczenie dla językoznawstwa, tak teoretycznego jak i praktycznego; w drugim z tych zakresów pouczał np. publiczność, że bez jej znajomości nie można rozsądnie mówić o ortografji, ale szersze koła tego nie rozumiały. Na samym początku w. XX ogłosił Rozwadowski pierwszy systematyczny *Szkic wymowy polskiej*, ale to był istotnie tylko szkic ogólny i tylko dla naukowców. Żaden z tych dwu najznakomitszych polskich językoznawców nie mógł się temu oddać wyłącznie. Wtedy, jakby wywołany przez potrzebę, najpierw tylko naukową, zjawił się u Rozwadowskiego nieznany jeszcze młody uczony i wręczył mu dwa artykuliki: *Z dziedziny akomodacji międzywyrazowej* i *O samogłoskach nosowych w wyrazach obcych*, razem stron 15, które Rozwadowski bez żadnych przeróbek odrazu, w r. 1903, pomieścił w 2. zeszycie rozpoczynających nową dla językoznawstwa polskiego epokę *Materjałów i prac Komisji językowej Akademji Umiejętności w Krakowie*. Ta płodna epoka, przedewszystkiem Rozwadowskiego i Łosia, okazała się w fonetyce epoką Benniego, on zaś stał się nietylko pierwszym polskim systematycznym badaczem tego przedmiotu, alę i jego pierwszym w szerokich kołach propagatorem.

Wymienione rozprawki nie były wcale t. zw. przyczynkami (na których przesadne lekceważenie przyszła teraz moda); były one podstawowemi założeniami do systematycznego zbadania całości, której nie można było zamykać ani w ramach oddzielnych wyrazów, ani w ramach wyrazów rdzennie polskich. Toteż potem przyszły inne, definjujące głoski polskie (np. *Istota artykulacyjna syczenia i szumu*, *Formuły analityczne dźwięków polskich*) i systemizujące je, aż zamknęły tę przeszło 10-letnią epokę dwie prace syntetyczne: *Samogłoski polskie* (1914), na podstawie której habilitował się Benni w Uniwersytecie Jagiellońskim, i *Opis fonetyczny języka polskiego* (w zbiorowem dziele *Język polski i jego historja*, 1915, po raz drugi w akademickiej zbiorowej *Gramatyce języka polskiego*, 1923). Zamknęły o tyle, że dopiero wtedy doszliśmy do posiadania całkowitego obrazu polskiej fonetyki, stojącego na równi z zachodnioeuropejskiemi; nie znaczy to jednak, by epoka ta została poza nami: przeciwnie, do dziś żyjemy w jej wynikach, pogłębiając je lub inaczej naświetlając, ale wcale nie odrzucając. Sam Benni je oczywiście też uzupełniał, czyto eksperymentalnie: *O akcencie polskim* (z pracowni hamburskiej), *Metoda palatograficzna w zastosowaniu do spółgłosek polskich...*, czy też rozważając od Baudouina pochodzące pojęcie psychicznego odpowiednika głoski: *Z wędrówki pojęcia fonemu*. Tem ostatniem dowiódł, że choć poza pracą doktorską nie przekraczał granic swej ukochanej fonetyki, to jednak nie traktował jej mechanicznie, ale zawsze ze zrozumieniem jej wartości psychologicznej: dla lingwistyki i dla pedagogji. Ale zanim przejdę do pedagogji, wymienię jeszcze prace historyczne Benniego o ludziach z przed stu lat: *Jenerał Mroziński jako psychofonetyk* i *Jana Siestrzyńskiego Teorja i mechanizm mowy*. Nie ograniczał się też do polszczyzny: pisał i o fonetyce rosyjskiej.

Cała ta praca naukowa — jak zresztą i pedagogiczna — w najmniejszej części nie wypłynęła z niczyjej namowy ani z dążenia do najgodziwszej karjery, której też nie zrobił. Wypłynęła natomiast z atmosfery rodzinnej, którą można sobie odtworzyć z życiorysu jego ojca Fryderyka Hermana, pomieszczonego w ostatnim zeszycie Polskiego Słownika Biograficznego przez Wł. Wolerta. Ojciec, najpierw pastor, potem nauczyciel języków nowożytnych i właściciel prywatnej nowoczesnej szkoły, w której tajnie uczyli po polsku wybitni warszawscy uczeni, matka z rodziny szkockiej. Z domu więc wyniósł zamiłowania pedagogiczne, zwłaszcza do dobrze sobie znanych nowych języków, co się na studjach uniwersyteckich rozwinęło w zamiłowanie do ich naukowego badania. Te studja po dorpackiej maturze odbywał w Lipsku, gdzie najsilniejszy wpływ wywarł na nim oczywiście słynny w całej Europie fonetyk Sievers. Po powrocie do Polski wszedł Benni w kontakt z prywatnem polskiem szkolnictwem, rzecz znamienna, z najmniej urzędowem, uczył mianowicie we wzorowanych na angielskim typie szkołach ks. Gralewskiego. Po wojnie mianowany profesorem fonetyki Uniwersytetu Warszawskiego, katedry tej nie objął, bo stworzony do jaknajprywatniejszego nauczania, miał nerwową niechęć do występowania publicznie. Wolał się utrzymywać z nauczania na kursie, kształcącym nauczycieli dla Instytutu Głuchoniemych (pisał o *Czytaniu z ust dla ogłuchłych*), którą to posadę jednak utracił, w chwili, gdy przez parę lat nieobejmowana katedra uniwersytecka już była skasowana. Okoliczności tak się złożyły, że nie utrzymał się także w założonem przed kilku laty w Uniwersytecie Warszawskim laboratorjum fonetyki eksperymentalnej, chociaż — jakeśmy widzieli — wcale nie był obcy temu działowi swojej wiedzy. W ostatnich latach był dyrektorem Muzeum Oświaty i Wychowania oraz kierownikiem centrali pracowni dydaktycznych M. W. R. i O. P. i na tem stanowisku czuł się dobrze, bo bardzo lubił bezpośredni kontakt z nauczycielami. Ale największą sławę zyskał przez swe podręczniki ortofonji: angielskiej, francuskiej i niemieckiej, które na długo zostaną podstawą nauczania tych języków, jak na zawsze — obok praktycznej *Ortofonji polskiej* — zostaną podstawowemi jego ujęcia naukowej fonetyki polskiej. Bo także nowoczesne specjalistki naszych dwu zakładów fonetyki eksperymentalnej, docentki p. Marja Dłuska we Lwowie i p. Halina Koneczna w Warszawie, zawsze się do jego prac z wielkim odnosiły szacunkiem.

Z faktu, że Benni nie publikował nic poza fonetyką, mógłby ktoś nieznający go przypuszczać, że był człowiekiem zacieśnionym, pedantycznym: bo jakże? całe życie tkwić wyłącznie w obserwacji sposobów mówienia! Nic podobnego. Benni był nietylko człowiekiem wielkiej naturalności obejścia i wyjątkowej dla ludzi życzliwości — z czem w związku był jego bardzo prosty i jasny sposób pisania—, ale też człowiekiem o naprawdę szerokiej i istotnej kulturze umysłu.

KAZIMIERZ NITSCH

POWOŁANIE PISARZA

Gdy pisarz o głośnem nazwisku, czyli pisarz z powołania (bo jego sława jest tego powołania sprawdzianem), mówi „o powołaniu pisarza", kto z pośród zwyczajnych ludzi ma prawo zabierać głos na ten sam temat, przyświadczać lub wątpić i dyskutować? Chyba tylko inny, równy tamtemu z powołania, pisarz, tak samo rozumiejący swoją rolę lub rozumiejący ją inaczej. Ludzie postronni, nawet jeżeli są wyznawcami jakiejś wiary literackiej i z tego tytułu spełniają pewne niższe posługi w zakresie piśmienniczym, mają w takiej dyskusji dość ograniczone pole działania. Zadowoleni czy niezadowoleni z wywodów pisarza, mogą sobie wyobrażać inaczej jego powołanie, ale nie mogą mieć pretensyj o to, że on tak a nie inaczej rozumie je, odczuwa i spełnia. Tylko inny pisarz, gdy na ten sam temat zechce się odezwać, z całą swobodą zacznie swoją deklarację od słów: „a ja widzę to wszystko tak a tak". Za taką bowiem deklarację jest odpowiedzialny całym majątkiem swojej twórczości. Laik zaś jest zaledwie w sytuacji zabiegającego o czytelników dziennikarza, który w krótkiej drodze (10—100 wierszy tekstu) chce zapośredniczyć między rządem a kartelami w celu rozwiązania karteli. Ani więc nie pogodzi dwóch pisarzy, inaczej widzących swoje powołanie, ani żadnemu z nich nie narzuci drogi rozwoju i wykładni terminu „powołanie". W wypadku zaś takim jak ogłoszenie przez Jul. Kadena-Bandrowskiego wielkiej enuncjacji „o powołaniu pisarza" *(Wiadomości Literackie*, nr. 411) wogóle nie zachodzi potrzeba jakiegokolwiek godzenia.

Gdzież bowiem są inne podobne enuncjacje i jacy inni pisarze zgadzają się lub nie zgadzają z Kadenem? W tem pytaniu jest jawnie utajona prowokacja i jednoznacznie skryty żal, że „powołanie pisarza" nie stało się w latach ostatnich tematem publicznego rachunku sumienia twórców literackich. Gdyby niem było — nie zmarnowałoby się tyle czasu i papieru na dyskusję o społecznych np. zadaniach literatury, o jej obowiązkach wobec państwa, wobec „mitu" niepodległości i t. p. Ta bowiem dyskusja toczyła się przeważnie bez udziału zainteresowanych i jakkolwiek wiele dobrego przyniosła w sensie „oświatowo-kulturalnym", rozeszła się po kościach, gdyż sami pisarze nie zaorali odpowiednio gruntu czyli nie nauczyli nas, czem są, kim się być sądzą, jakie jest ich powołanie. Aż nareszcie Kaden zaczął i to odrazu zasadniczo, z myślą o całokształcie spraw, związanych z „powołaniem", z wyraźną ochotą do strawienia potrawy, składającej się z rozlicznych elementów spożywczych, które przy zastosowaniu złych proporcyj mogą się stać niebezpieczne dla zdrowia twórczego.

Co teraz z tem zrobić? Czy mianowicie czekać, aż wypowiedzą się inni pisarze, czy wtrącając się w sprawy, które dotyczą pisarzy, ryzykować niepowołane trzy grosze? Najlepiej, zdaje się, będzie pozostać w roli kibiców i trochę pojudzić i pointrygować. Kaden się domyśli, że to tylko pozornie przeciw niemu (o ile coś będzie przeciw niemu), a zato intryga może się udać choćby w małym stopniu. Inni pisarze uwierzą, że społeczeństwo (w najlepszym razie), ewentualnie szczuplejsze grono miłośników literatury (w najgorszym wypadku) jest zainteresowane w odpowiedziach na pytanie: czego pisarze polscy chcą od samych siebie, czego chca od nas — swojego narodu, społeczeństwa, tłumu zjadaczy chleba, oprócz tego że chcą, abyśmy ich czytali?

•

Pisze Kaden-Bandrowski: „...to czem wy (to znaczy: my) jesteście w rzeczy samej, w niepowrotności uroków cierpienia i kochania, to przeminie na zawsze, o ile tajemniczym niewodem mowy nie złowi tego jeden z tych, których dola narodu przywołuje na stronice swych ksiąg obyczaju".

Pisze jeszcze: „Jakże ich (to znaczy znowu — nas) w siebie przyjąć, wcielić, wchłonąć, gdy w sobie samym wszystko wyłącznie sobą jest tylko wypełnione po brzegi? Więc trzeba w sobie umniejszać siebie samego coraz skrzętniej, coraz surowiej i coraz bezlitośniej, a wówczas im więcej tej bezlitości dla samego siebie, im więcej bólu — tem dla innych więcej współczucia".

Oto jest wielkie zadanie pisarza i nasza dola nieszczęsna. Bez niego zejdziemy z tego świata bezgłośni, nijacy, nawet jeżeli pokurczeni w cierpieniu i połamani życiem. Pisarz bynajmniej nie przyszpilił nas do stołu wiwisekcyjnego, ale to tylko dlatego, że już nas samo życie wzięło w mocne kleszcze i ze wszystkich stron można nas obejrzeć i podpatrzyć. To nic, ożyjemy w pieśni, zamierającemi zaś wargami będziemy wielbić jego, pisarza, który, niczem balast z balonu, wyrzucał stopniowo siebie samego, aż zrównał się z nami, stał się lekki jak my, zniżył się do naszego poziomu, stopił się z naszą jaźnią — królików w życiowem laboratorjum. Cóż za uwodzicielski panteizm literacki! I co za wątpliwość wkrada się nam w dusze! Bo jakże ty nas zrozumiesz, o mistrzu, jeżeli się skurczysz do naszych wątłych rozmiarów codziennych i zechcesz, równy nam, okazywać nam „tem więcej współczucia"? Nie uradzisz „tem więcej", najwyżej możesz tyle co my sami sobie, ale wówczas nie jesteś nam potrzebny.

I wogóle nie to nam jest potrzebne. Chcemy tylko znać, w przybliżeniu przynajmniej, miejsce i stopień wyniosłości, którą na mapie naszego życia zajmuje pisarz, aby wiedzieć, jak szeroko może krążyć jego wzrok, jaki może być zasięg jego czujnej uwagi. Chcielibyśmy widzieć idące z tej wyniosłości sygnały świetlne, aby móc ku nim dążyć, na stoki wzgórza się podczołgać, ku samemu szczytowi dążyć.

„Ja (to znaczy — pisarz) i ty (to — my), ja — i oni, ja — i wszyscy inni: społeczeństwo, naród, ludzkość cała". Ten program jest dlatego za mały, że jest za duży. Zaiste, nie o to przecież idzie. Ty — jesteś ty, my—to tylko my. Jakie tam społeczeństwo, naród, ludzkość! Wybierz sobie z nas jednego — dwóch, wybierz kilkoro, bo oni są właśnie społeczeństwem i ludzkością. A raczej oni będą nawet ludzkością, jeżeli ty zechcesz tego, twórco-pisarzu. Nie roztapiaj się w nas, zapomnij o ludzkości. Gogol zapomniał o niej i stąd jest wszechludzki Rewizor. Człowiek, którego pisarz spotkał na swej twórczej drodze, przygarnął i ogrzał ciepłem swojego natchnienia, nosi w sobie całą ludzkość, ale cała ludzkość, którą pisarz chce wchłonąć w siebie — to tylko kupa ludzi i... wielkie słowa.

Aby wyjaśnić tajemnicę „powołania pisarza", należałoby wyjaśnić tajemnicę dystansu między człowiekiem, światem, życiem a pisarzem. To zaś, co narazie otrzymaliśmy w deklaracji Kadena, jest objaśnieniem procesu wchłaniania przez twórcę, usposobionego lirycznie, niezmiernego materjału epickiego. Otrzymaliśmy ponadto liryczne wyznanie na temat najintymniejszego pożycia pisarza ze słowem, jako tworzywem, ze zdaniem, jako formą przeżycia artystycznego. I owszem, to jest także ważne, może jednak nie dla nas, którzy poniekąd idziemy na rzeź unieśmiertelnienia przy pomocy tak precyzyjnych, chwilami jak membrana śpiewnych narzędzi. Och, mistrzu, żebyś mógł odczytać te rozprawy seminaryjne, które prawnuki Twoich Aciaków będą pisały w niemałym a zbytecznym trudzie o „świadomości i podświadomości w zastosowaniu rzeczownika i czasownika u Kadena-Bandrowskiego"!

Co oby się nie zdarzyło ani w głównej ani w żadnej bocznej linji Twojego rodu!

STANISŁAW ROGOŻ

Z CYKLU „FRASZKI"

MISTRZ

Płonął i przyszłość budował.
Pod jego słów skinieniem
śpiewające źródła tryskały,
jak pod laską Mojżesza.

Minęło pokolenie.
W zacisze snów się schował.
Zagrzebał się w szpargały.
Przeszłość wskrzesza!

WŁADYSŁAW SEBYŁA

„MERYTORYCZNOŚĆ“ IRZYKOWSKIEGO

Karol Irzykowski zaszczycił mnie (w n-rze 39 *Pionu)* „seminaryjną“ rozprawką na temat źródeł *Pawich piór*. Przeczytałem ją i znajduję, że jest w niej znacznie więcej doraźnej publicystyki antymarxistowskiej, niż słynnej niegdyś „merytoryczności“ szanownego klerka; rzecz — pozornie — tem dziwniejsza, że sam Irzykowski nieraz wytykał w moich powieściach nadmiar „doktrynerskiej“ „propagandy“, forsowanej — jego zdaniem — z ujmą dla prawd merytorycznych, socjalnych czy historycznych. To też przygodna ilustracja przysłowia o źdźble i belce może mieć w tym wypadku pewne znaczenie ogólniejsze.

Ktoś mógłby tu zahaczyć: trudno — pisarz, deklarujący się jako marxista i kształtujący swą twórczość podług marxistowskich racyj, sam prowokuje temperament polityczny krytyka, zmusza go do traktowania dzieła na płaszczyźnie „światopoglądowej“, narzuca mu poniekąd publicystyczną postawę. Wiem o tem. W danym wypadku jednak nie chodzi o osąd utworu; chodzi o pewne namacalne *fakty*, które Irzykowski *zignorował*, o to, że szczudła, z których Irzykowski stara się postponować mój marxizm, zostały przez niego samego podpiłowane — własnoręcznie.

Wypadek jest dość szczególny. Krytycy literaccy naogół nie zajmują się „źródłologją“. Tkwiąc w swojej współczesności, frontem do bieżącej produkcji literackiej, chwytając „na gorąco“ jej wyrazy artystyczne i ideowe — żmudne dłubaniny genetyczne pozostawiają szperaczom zawodowym, przyszłym historykom literatury. Nie rozporządzają zresztą — zazwyczaj — odpowiednim dla takich badań materjałem.

W odniesieniu do *Pawich piór* zwykłe zadanie krytyka spełnił Irzykowski, recenzując tę książkę w n-rze 32 *Pionu*. Jakaż przyczyna zrządziła, że dodatkowo zajął się jeszcze sprawą, leżącą raczej poza kręgiem „normalnych“ zainteresowań krytyka — sprawą źródeł mej powieści?

Przyczyną tą było — podejrzenie: podejrzenie, „czy Kruczkowski, który w *Kordjanie i chamie* wbrew prawdzie historycznej zabił chama ręką Kordjana [1] — i tym razem nie poprowadził źródła na swój młynek“, oczywiście, na młynek marxistowski.

Konkretnie, chodzi o „sprawę pastwiska“ w *Pawich piórach*. Już w swej recenzji Irzykowski kręcił głową nad tą sprawą i niepokoił się kwestją jej autentyczności. Wobec braku informacyj źródłowych w samej książce zdany był — jak sam oświadcza — „na postronną informację, czy niedyskrecję“.

„Postronna informacja“ znalazła się w recenzji K. Wyki (*Pawie pióra* w *Tyg. Illustr.* z dnia 12 maja b. r.), który — zgoła dowolnie i bezpodstawnie — wskazał na znane *Pamiętniki* Słomki, jako na źródło głównego wątku mej powieści. Irzykowski postarał się o *Pamiętniki*, przeczytał je i z satysfakcją znalazł, że...

Aliści „recenzja p. Wyki miała swój epilog“, mianowicie rozmowę moją z p. Wyką, opublikowaną również w *Tyg. Illustr.* (z dnia 25 sierpnia b. r.). W rozmowie tej *sprostowałem* mylny domysł p. Wyki i *wyjaśniłem* obszernie genezę „sprawy pastwiska“ w *Pawich piórach*. W szczególności stwierdziłem tam, iż nie z *Pamiętników* Słomki ją wywiodłem, ale z broszury dra Jana Hupki p. t. *Gospodarka na gruntach wspólnie używanych w Galicji* (Kraków, 1897).

Zdawałoby się, że tego rodzaju oświadczenie *autora* w przedmiocie *źródeł własnego utworu* — jest obowiązujące, „miarodajne“; że to już nie „postronna informacja czy niedyskrecja“, ale *fakt* jak najbardziej właśnie *autorytatywny*. Ale „merytoryczny“ Irzykowski ma o tem zgoła inne zdanie. *Czytał* rozmowę moją z p. Wyką, ale — poprostu nie przyjmuje do wiadomości tego co w niej, kompetentnie chyba, wyjaśniłem w sprawie źródeł *Pawich piór*. Przekornie mruży jedno oko i — Gadaj pan zdrów! — zdaje się mówić. — Ja wiem lepiej, z jakich źródeł i jak pan korzystał! — I wpiera we mnie, że przecież! że właśnie! że tylko *Pamiętniki* Słomki! I na dwóch szpaltach „wykazuje“, jak to ja — marxistowskim niecnym obyczajem — tego biednego Słomkę przekształcam, zniekształcam, fałszuję, zmieniam proporcje... Jak rzeczywiście, krótko mówiąc, puszczam to źródło na swój młynek, co właśnie on, Irzykowski, odrazu podejrzewał, przeczuł i wywietrzył.

Co się zaś tyczy wskazanej przeze mnie, jako główne źródło, broszury Hupki, przyznaje wprawdzie Irzykowski, że nie mógł jej znaleźć i przeczytać, lecz mimo to oświadcza: „mniej więcej (!) wiem, o co chodzi, i tu również przeczę, żeby Kruczkowski, jako marxista, miał prawo przerabiać...“ itd. To znaczy: p. Irzykowski nie zna, nie czytał, ale — wie „*mniej więcej*“, a nawet wie lepiej! Nie zna, nie czytał, ale — jako antymarxista? — „ma prawo“ i „przeczy“. Dziwna doprawdy lekcja „merytoryczności“.

Ta — najoględniej mówiąc — *oczywiście nielojalna* postawa Irzykowskiego rozbraja, wyznać muszę, wszelki zamiar polemiczny. Cóż począć, gdy ktoś a priori *podejrzewa*, że — marxizm w literaturze to coś równoznacznego z nieczystemi machinacjami, z szachrajstwem i fałszerstwem — i taką niewybredną, kurjerkową tezę uprze się „udowadniać“, chociażby przyszło w tym celu zamknąć oczy na fakty, wyraźne i sprawdzalne, wskazane miarodajnie przez zainteresowanego autora? Cóż począć zwłaszcza, gdy tym podejrzliwym „ktosiem“ jest Irzykowski, który — przypominam sobie — raczył kiedyś nazwać marxizm „systemem podejrzeń“?

W takich warunkach merytoryczność sporu (ta, bez cudzysłowu) zostaje rzeczywiście podpiłowana u samej podstawy. Rzecz sprowadza się na śliski grunt *konfliktu zaufania*, o czem najlepiej wiedzieć powinien autor niedawnego studjum „o perfidji i szantażu“... Albo Irzykowski przyznaje mi prawo wskazania źródeł własnej powieści i *wierzy*, że je wskazuję *rzetelnie* — — albo mi tego prawa i tej wiary (jako marxiście? czy jako pisarzowi wogóle?) *odmawia?* Artykuł w *Pionie* pośrednio rozstrzygnął kwestję — w kierunku tej drugiej alternatywy. Stwierdzam ten fakt; oceną jego nie chcę się zajmować.

LEON KRUCZKOWSKI

P. S. W rozpędzie swej wszechwiedzy wskazuje Irzykowski, że *Pamiętnikom* Słomki nietylko pomysł głównego wątku *Pawich piór* zawdzięczam, ale że były one ponadto „tajemnem (?) źródłem natchnienia dla Kruczkowskiego jeszcze w innych partjach jego powieści“. Że, w szczególności, Słomka — oczywiście, „zniekształcony“ odpowiednio — posłużył mi za model pisarza gminnego Płonki. Apodyktyczność, z jaką Irzykowski podaje tę „informację“, jest nader sugestywna; mimo to, gotówbym przysiąc, że postać Płonki ukształtowałem według Franciszka Magrysia *Żywota chłopa-działacza* (Lwów, 1932) — co zresztą przenikliwie odgadli inni (Z. Wasilewski w *Kurjerze Poznańskim)*. Może Irzykowski zechce zapoznać się z tą książką (jest łatwo dostępna): zobaczy w niej, nie wątpię, Płonkę w oryginale — a raczej, mówiąc ściśle, w autoportrecie (rozróżnienie to wydaje mi się bardzo ważne).

Chyba, że ja się mylę... Słomka, Hupka, Magryś — — po artykule Irzykowskiego te nazwiska zaczynają mnie straszyć po nocach... Może właśnie Irzykowski ma rację? A może... może to nie ja wogóle napisałem *Pawie pióra?*

*

ODPOWIEDŹ

Nie rozumiem, o jakiego rodzaju satysfakcję chodzi Kruczkowskiemu. Przecież sprawa nie nadaje się ani do przysiąg ani do sprostowania faktycznego, ponieważ nie wychodzę poza ramy faktów przyznanych i podanych przez Kruczkowskiego, lecz tylko, w ich obrębie, inaczej interpretuję. A to mi wolno jako krytykowi, wolno podejrzewać i domyślać się, to jest mojem prawem i obowiązkiem, wbrew szykanom, gniewom i przysięgom autora *Pawich piór*. Faktem jest, że znał „dobrze“ i to oddawna *Pamiętnik* Słomki, — i dosyć na tem, a czy z *Pamiętnika* zaczerpnął tylko szczegóły techniczne co do odebrania pastwiska a z Hupki „ładunek ideologiczny“, jak on sam opowiada w wywiadzie z p. Wyką i czego ja nie neguję, — czy rozmyślnie przeoczył zawarte w *Pamiętniku* szczegóły co do rozmiarów pastwiska i co do celów odebrania go, jak ja twierdzę, to już należy do interpretacji i każdy, kto te trzy książki (*Pawie pióra*, *Pamiętnik* i broszurę) z sobą zestawi, może mieć o tem zdanie i przyznać słuszność mnie lub Kruczkowskiemu. W każdym razie dziwne jest, że autor daje się zapładniać przez pomysły ideologiczne (Hupki), a nie przez żywy opis zawarty w *Pamiętniku* i tamte uważa za *prius*; o wiele naturalniejsze i zgodniejsze z psychologją twórczości jest przypuszczenie, że plastyczna scena zajęcia pastwiska utkwiła mu w pamięci najpierw, stała się jajkiem, wobec którego później polityczny koncept Hupki odegrał rolę nagłego bodźca, zapładniającego plemnika. Dlaczego Kruczkowski i w wywiadzie i w sprostowaniu tak wielką wagę przywiązuje do uczynienia właśnie z Hupki swego źródła głównego, dalibóg nie rozumiem, — chyba że mu o ten moment walki klasowej tak bardzo chodzi.

Zresztą dla mnie jest obojętne, czy *Pamiętnik* poddał Kruczkowskiemu cały temat, czy tylko szczegóły techniczne; ważne dla mnie jest natomiast — i tu już wypuścić go nie mogę — że skoro *Pamiętnik* znał, to powinien był skonfrontować swoją wymyśloną i niby na Hupce opartą historję pastwiskową z autentyczną historją pastwiskową opowiedzianą przez Słomkę, porównać cyfry i cele i wynieść stąd ostrzeżenie dla siebie, żeby nie przeholować i nie naciągać. Ale cóż zrobił Kruczkowski? Pium desiderium Hupki zamienia na fakt centralny, a urąga rzeczywistości nietylko w swej książce, ale i teraz w sprostowaniu, on, marxista, który — zdawałoby się — powinien pilnować miary możliwości historycznych, a nie bawić się w fantastykę.

Co do Hupki, mam prawo do mówienia o nim o tyle, że przez dłuższy czas byłem sprawozdawcą dziennikarskim z obrad Sejmu galicyjskiego, a później także stenografem tego sejmu i słyszałem niejedno przemówienie Hupki. Stąd mój wniosek, że Hupka był izolowany ze swemi pomysłami, i że żadną miarą nie mogły one były wówczas wejść w życie. O to mnie chodziło, żadne szykany Kruczkowskiego tu nie pomogą, chyba że przytoczy jakiś fakt a nie pobożne życzenie uświadomionego obszarnika.

Nakoniec przyjmuję wdzięcznie do wiadomości uwagę, że autor, kreśląc figurę Płonki, korzystał z Pamiętnika Magrysia. Ale to jest tylko uzupełnienie a nie sprostowanie; wcale nie jest wykluczone, że skoro znał także Pamiętnik Słomki, korzystał i stamtąd, choćby podświadomie, — co mu przecież wcale nie uchybia. Pocóż to prostować, poco przysięgać! Kruczkowskiemu chodziło o zohydzenie chłopa, który większą wagę przywiązuje do roboty organicznej niż politycznej, a czy to uczynił według Słomki czy według Magrysia, czyż to nie wszystko jedno! Powiada on dzisiaj: „Irzykowski twierdzi, że kopnąłem Jaśka (Słomkę)? Nieprawda, prostuję i gotówbym przysiąc, że rozwaliłem głowę Frankowi (Magrysiowi). Aha!“ Niech będzie, ale jaki stąd zysk dla Kruczkowskiego i poco ten okrzyk triumfu? Nie jestem obowiązany znać wszystkich książek, z których mógł korzystać Kruczkowski, aby mnie potem mógł pochwalić za „przenikliwe(!) odgadnięcie“. Moja mylna wersja przynosiła mu nawet więcej zaszczytu, bo przypisywała mu wyobraźnię zdolną do rekonstrukcji pewnego typu na podstawie małej ilości danych szczegółów; jeśli jednak od Magrysia mógł czerpać garściami — trzeba to było zaznaczyć w przypiskach u dołu, — to i zasługa stąd mniejsza. Szkoda, że w sprawie pastwiska nie kierował się równą autentycznością.

KAROL IRZYKOWSKI

[1] Czas byłoby już skończyć z bezsensowną legendą o rzekomem uśmierceniu Deczyńskiego w ostatnim rozdziale *Kordjana i chama* — tę sprawę wyjaśniłem chyba dostatecznie w mojej polemice z Radkiem *(Wiadomości Literackie* nr. 569).

POD ZNAKIEM SZTUKI IRANU

Międzynarodowe kongresy sztuki i archeologji Iranu odbywają się wprawdzie odniedawna, ale mają już za sobą chlubną tradycję. Zarówno pierwszy, zwołany do Filadelfji (1927), jak i drugi, obradujący w Londynie (1931), zorganizowano w połączeniu z wielkiemi wystawami, z których londyńska, ze względu na dobór, bogactwo, wartość estetyczną i naukową zgromadzonych z całego świata eksponatów, stała się poniekąd epoką w badaniach nad sztuką irańską. To też zapowiedziany przez Międzynarodową Asocjację Sztuki i Archeologji Iranu na 11 — 18 września b. r. do Leningradu i Moskwy trzeci kongres irański wzbudził żywe zainteresowanie w sferach badaczy i miłośników perszczyzny, już chociażby ze względu na wystawę, przygotowywaną w jednem z największych i najwspanialszych muzeów świata — leningradzkim Ermitażu.

Fakt, że międzynarodowy kongres sztuki i archeologji Iranu odbył się z kolei w Sowietach nie jest pozbawiony głębszej przyczyny. Od zajęcia Astrachania w r. 1556 uważa Moskwa wody kaspijskie za swą wyłączną domenę polityczną i gospodarczą, a narodzinom imperjalizmu rosyjskiego za Piotra Wielkiego towarzyszy pierwszy najazd wojsk carskich na północne prowincje Persji. Odtąd pozostaje ona pod nieustanną grozą ekspansji rosyjskiej, która na krótko przed wojną światową przybrała formy zgoła niepokojące dla samodzielności państwowej Persji. Rewolucja bolszewicka zerwała wprawdzie z dawną polityką aneksyjną caratu, ale z tem większą konsekwencją Z. S. R. R. dąży do narzucenia swemu południowemu sąsiadowi zależności ekonomicznej, kontynuując w tej dziedzinie poprostu tradycje poprzedniego reżimu.

Rzecz tedy zrozumiała, że w tych warunkach studja irańskie znalazły w Rosji już wiele dziesiątków lat temu niezwykle sprzyjający grunt. Zagarnięcie przez carat Kaukazu i Turkiestanu, krajów, gdzie wpływy Iranu sięgają samych początków cywilizacji i pozostawiły głębokie ślady w każdej dziedzinie życia zbiorowego, gdzie po dziś dzień mieszkają szczepy irańskie, otworzyło nauce rosyjskiej nieocenione tereny badawcze. Dzięki temu bibljoteki i muzea Rosji zapełniły się ogromnemi zbiorami rękopisów i arcydzieł sztuki perskiej, z których niemała część zawędrowała nad Newę jako zdobycz wojenna. A że z imperjalizmem politycznym i penetracją gospodarczą idzie zazwyczaj w parze ekspansja naukowa, więc iranistyka rosyjska nie ograniczała się nigdy do badań we własnem państwie, lecz przyjmowała również czynny udział w naukowej eksploracji Persji. Nic więc dziwnego, że z biegiem czasu zajęła ona tak w dziedzinie studjów filologicznych, jak archeologicznych, jedno z przodujących miejsc, które zachowuje nadal, dzięki pięknym tradycjom i przedrewolucyjnej generacji uczonych.

W tym stanie rzeczy sowieckie środowisko naukowe mogło zaprezentować zagranicznym uczestnikom kongresu pokaźny i wielostronny, a przytem pod wieloma względami zupełnie oryginalny dorobek. Dotyczy to przedewszystkiem wystawy, otwartej dopiero w drugim dniu kongresu, która zgromadziła materjały wyjątkowego znaczenia, a w tak olbrzymiej ilości, że nie starczyło wprost czasu na dokładniejsze zapoznanie się z większością zabytków. Złożyły się na nią nasampierw zbiory samego Ermitażu, uporządkowane z tej okazji iześrodkowane w jednym kompleksie pomieszczeń. Nadto wiele muzeów prowincjonalnych, z najdalszych nawet krańców Z. S. R. R. jak Turkmenja, Gruzja i Armenja, dostarczyło niemało wysokowartościowych okazów, które uczonym niesowieckim przeważnie były nieznane. Skromny w stosunku do tego był ilościowo, lecz pierwszorzędny jakościowo, udział zbiorów obcych. Z nich Bibljoteka Narodowa i Louvre paryski wystawiły nieco starożytności, zaś rząd Iranu nadesłał większy wybór przedmiotów, pochodzących przeważnie z wykopalisk ostatnich kilku lat. Wszystko razem złożyło się na imponującą i barwną całość, w której szczegóły wniknąć nie było trudno, dzięki zespołowemu, a potem chronologicznemu ugrupowaniu zabytków. Lakoniczność napisów objaśniających wynagradzał katalog, narazie wydany tylko w języku rosyjskim i doprowadzony w pierwszej swej części do XV-go w. po nar. Chr. Druga ukazać się ma niebawem. Ale już objętość tego pierwszego tomu, przekraczająca sześćset stron, dać może należyte pojęcie o masie wystawionych okazów. Pod tym względem wystawa leningradzka przewyższa znacznie londyńską.

Wystawa w Ermitażu różni się przytem zasadniczo charakterem od poprzedniczki swej z Burlington House. Tamta miała przedewszystkiem selekcyjne zadania. Inicjatorom jej szło o wydobycie z muzeów i zbiorów prywatnych najbardziej reprezentatywnych utworów sztuki irańskiej, któreby w sumie dały wszechstronny obraz jej rozwoju od pierwszych początków aż po czasy najnowsze. W Leningradzie natomiast starano się przedstawić, w jaki sposób materjały, ujawnione na terenie Z. S. R. R., przyczyniają się do pogłębienia i rozszerzenia naszych wiadomości o kulturze materjalnej i twórczości artystycznej Iranu i ludów irańskich, mieszkających poza jego granicami. W ten sposób pojęta wystawa rzuca wiele świeżego światła na szereg aktualnych lub zapoznanych zagadnień naukowych.

Chciałbym to udowodnić na kilku najbardziej istotnych przykładach, które niewątpliwie zasługują na przytoczenie. Wiecznie żywotna kwestja prehistorji orjentalnej — geneza i chronologja cywilizacyj ceramiki malowanej zdobyła ważne pozycje dzięki świeżym wykopaliskom na Ak Tepe i koło Kuszki w Turkmenji. Szczęśliwa okoliczność, że materjały te znalazły się na wystawie obok przed trzydziestu laty wydobytej ceramiki z Anau, obok ciekawego zbioru naczyń z Suzy, będącego własnością Ermitażu, obok pokrewnych wyrobów z Persepolis i szeregu miejscowości północnego Iranu, obok wreszcie niepublikowanych okazów malarstwa wazowego z Zakaukazji — wszystko to pozwoliło zestawić i porównać najnowsze w tym zakresie wyniki badań w sposób zupełnie wyjątkowy. Nie zdarzyło się również dotąd, pomijając wystawę sztuki eurazyjskiej w Wiedniu w r. 1934, aby bronzy z Luristanu znalazły się w towarzystwie pokrewnych okazów z Kaukazu, Syberji i Scytji. Gdy jednak w Wiedniu znaleziska te zgrupowane były w niewielkim wyborze, tutaj mieliśmy sposobność przyjrzenia się całym kompleksom zabytków, w dużej części jeszcze niepublikowanych, pochodzących z tych właśnie krajów. Zyskaliśmy wreszcie nowy pogląd na najmniej znany okres Iranu — dobę wpływów hellenistycznych. I w tym wypadku Turkiestan dostarczył mnóstwa pierwszorzędnych zdobyczy, by wspomnieć tylko plastykę terakotową z Afrasijab i ostatnie wykopaliska w Starej Nesie. Obok tych resztek cywilizacji partyjskiej zaprezentowano nam, dla uzupełnienia obrazu, współczesne im znaleziska z Armenji i Gruzji.

Nie te jednak starożytności stanowiły najbogatszy i najpiękniejszy dział wystawy. Były nim zabytki sasanidzkie, których Ermitaż posiada jedyną w swoim rodzaju kolekcję światowego znaczenia. Losy dziejowe chciały bowiem, że najwspanialsze okazy srebrnych i bronzowych naczyń sasanidzkich wydobyto z ziemi nie w samym Iranie, lecz na dalekiej północy — nad Uralem i na Ukrainie, że najdłużej przechowały się one w użyciu nie w pałacach i domach perskich, lecz w aułach niedostępnego Dagiestanu. Od drugiej połowy XVIII-go w. kraje te są prawdziwą kopalnią niewyczerpanych skarbów toreutyki sasanidzkiej, której najcenniejsze okazy oddawna zdobiły liczne muzea i prywatne zbiory Rosji. Dzisiaj wszystkie one skupione są w Ermitażu, który dzięki temu poszczycić się może posiadaniem dziesiątków mis, czasz, dzbanów oraz innych naczyń, stanowiących około 80% doszłej do naszych czasów zastawy sasanidzkiej. To też bez poznania tych niedoścignionych pod względem technicznej jakości i artystycznego piękna zbiorów wydają się niemożliwe jakiekolwiek poważniejsze studja nad sztuką sasanidzką wogóle.

Wiele nieprzeciętnej wartości naukowej materjałów znalazło się również wśród eksponatów z późniejszych okresów. Wystarczy tylko wspomnieć wykopaliska na górze Mug w Tadżikistanie z pierwszej połowy XVIII-go w. po nar. Chr., pierwsze, jak dotąd, na terytorjum Sogdjany, tej wysuniętej ku Azji środkowej forpoczty iranizmu i nestorjańskiego chrześcijaństwa. Albo oryginalne płaskorzeźby kamienne z aułu Kubaczi w Dagiestanie z XVIII-go w., których kompozycje i ornamentyka tak żywo tchną duchem tradycyj sasanidzkich. Albo wreszcie kafle wielobarwne z Samarkandu z XIV-go w., które przenoszą nas już w zupełnie inny świat — Turkiestan przed drugą ekspansją mongolską.

Owe skarby wystawy leningradzkiej stały nam się bez porównania bliższe dzięki wielkiemu zjazdowi uczonych sowieckich z najdalszych kresów Z. S. R. R. Liczne instytucje naukowe Azerbejdżanu, Armenji, Gruzji, Buchary, Turkmenji wysłały na kongres swych delegatów, nie mówiąc już o środowiskach centralnych, jak Kazań, Moskwa lub Kijów. W ten sposób w Leningradzie znalazło się mnóstwo specjalistów, których poszukiwaniom wykopaliskowym zawdzięcza się tak wiele materjałów, wystawionych w Ermitażu. Ich szczera uczynność, wyczerpujące objaśnienia, pełne życzliwości ustosunkowanie się do naszych zainteresowań naukowych stały się dla nas nieocenioną pomocą w pracy przy witrynach i gablotach.

Nietylko jednak ów stały kontakt osobisty, ale i program kongresu przyczynił się znakomicie do pogłębienia i rozszerzenia naszych wiadomości o zabytkach wystawy. Tu znów uczeni sowieccy wystąpili z licznemi referatami, nawiązującemi bądź do badań terenowych w Z. S. R. R., bądź do tamtejszych zasobów muzealnych i bibljotecznych. Zapoznaliśmy się więc z wynikami badań A. A. Jessena nad metalurją starożytnego Kaukazu w jej związkach z irańską, dyskutowaliśmy nad właściwie jeszcze nietkniętem, a tak fascynującem zagadnieniem sztuki baktryjskiej, które po raz pierwszy w całej rozciągłości przedstawiła nam K. W. Trewer, dowiedzieliśmy się z ust N. Baczinskiego, jakie były tajemnice irańskich i turkiestańskich architektów XV — XVII w., by zabezpieczyć budowle przed skutkami trzęsienia ziemi. M. N. Baklanow mówił o architekturze seldżuckiej na Kaukazie, archeolodzy gruzińscy Z. Czubaniszwili i Sz. Amiraniszwili o wpływach irańskich w sztuce Gruzji, gdy E. Masson zreferował swe odkrycia rzeźb buddyjskich na terytorjum scytyjskich Saków w dzisiejszym Uzbekistanie.

Jakkolwiek w ten sposób kongres i związana z nim wystawa wypadły w dużej części jako rewja iranistyki sowieckiej wobec zagranicy, to z drugiej strony i cudzoziemcy zjawili się na kongresie bardzo licznie i wystąpili z wieloma referatami. Reprezentowanych było dwadzieścia kilka państw przez zgórą 100 uczonych, nie licząc miłośników i zwykłych gości. Żywy specjalnie udział w obradach brała delegacja Iranu z ministrem oświaty J. E. Ali Aszgar Hekmetem na czele, który obok komisarza oświaty A. S. Bubnowa, dyrektora Ermitażu I. A. Orbelego i prof. A. U. Pope'a, był jednym z duchów twórczych kongresu. Jego niekłamany entuzjazm dla nauki i artystycznej przeszłości własnej ojczyzny, jego pełne finezji i polotu przemówienia zjednały mu sympatję wszystkich uczestników, dla których ta czynna obecność wysokiego dostojnika państwowego w gronie kongresowem stała się niejako symbolem odrodzenia intelektualnego, jakie szybkiemi krokami dokonywa się obecnie w Iranie. O tem świadczyły również referaty, z któremi wystąpili uczeni irańscy. Tak więc M. Mogadam mówił o początkach sztuki w Iranie, M. Diba o malarstwie religijnem w dobie muzułmańskiej, T. Bihzad o sposobie pracy malarza perskiego, wreszcie I. Sadik o współczesnej sztuce Iranu.

Z krajów europejskich najwięcej delegatów wysłały Anglja, Francja i Szwecja, Niemcy stawili się bardzo nielicznie, a Ameryka nie dopisała zupełnie. Na porządku dziennym znalazło się dużo interesujących referatów. Do nich należał wykład T. J. Arnego o szwedzkich wykopaliskach w stepach irańskich, J. Hackina o wpływach sasanidzkich w Afganistanie na podstawie badań misji francuskiej, Fr. Sarrego o tradycji irańskiej w sztuce, D. Talbot Rice'a o elementach irańskich w sztuce bizantyjskiej. Osobne posiedzenie poświęcono sprawom fałszerstw, na którem H. J. Plenderleith, kierownik laboratorjum Muzeum Brytyjskiego, mówił o sposobach demaskowania fałszywych bronzów irańskich.

Udział nauki polskiej zaznaczył się obecnością dr. A. Lauterbacha, dyr. Państw. Zbiorów Sztuki, dr. T. Mańkowskiego ze Lwowa, dr. St. Świerz-Zaleskiego, kustosza Wawelu, p. E. Wierzbickiego z Warszawy oraz dr. St. Przeworskiego, docenta U. J. P., który wygłosił w języku niemieckim referat „O wpływach irańskich w sztuce i kulturze Anatolji epoki achemenidzkiej". Nadto Tow. Polsko-Irańskie w Warszawie przesłało na ręce prezydjum kongresu wybór ostatnich wydawnictw polskich, dotyczących rzeczy perskich, oraz rozdzieliło pomiędzy część członków kongresu „Katalog wystawy sztuki perskiej w Warszawie". Wreszcie reprezentowali Polskę w komitecie ogólnym wystawy — A. Lauterbach, a w komitecie wydawnictw kongresu St. Przeworski.

Tak więc w zgórą pięćdziesięciu referatach kongresu poruszono niemało ważnych zagadnień z przeszłości artystycznej Iranu, od czasów najdawniejszych aż po dobę obecną. Z sali posiedzeń i z sal Ermitażu wynieśliśmy wiele cennych spostrzeżeń i wiele trwałych zdobyczy, a przedewszystkiem nieodparte przeświadczenie o wielkiej roli Iranu w dziejach artystycznych ludzkości, którą w szczególnie dobitny sposób podkreśliła zaprezentowana nam wystawa. Następny kongres sztuki i archeologji Iranu, który zbierze się w r. 1937 w Paryżu, będzie miał już inny charakter i odmienne zadania.

STEFAN PRZEWORSKI

„MĄDROŚĆ TECHNIKI"

„Obrócili Jeruzalem w budkę na chowanie jabłek".

(*Psalm* 78).

Niedawno w *Polsce Zbrojnej* ukazała się korespondencja z Zakopanego, pod charakterystycznym tytułem: „Chyłkiem na Kasprowy Wierch". Autor tak zaczyna swój opis:

„Mało jest takich wtajemniczonych, którzy dokładnie wiedzą, co się naprawdę obecnie dzieje w Tatrach, na odcinku Kuźnice — Kasprowy Wierch, o którym przez parę lat tak głośno było na świecie, nietylko u nas. A to tembardziej, że dostęp na teren robót, jakie się tam intensywnie wykonują, jest, jak fama niesie, najzupełniej wzbroniony".

Udało się jednak autorowi dotrzeć do Myślenickiej Turni. Widział on prace budowlane, wykonywane przy pomocy tanku i autobusów ciężarowych. Artykuł kończy się słowami:

„Narazie człowiek, zbrojny w mądrość techniki, kroczy na szczyty zwycięsko, choć i teren i klimat ma przeciw sobie".

Z „KSIĘGI KRÓLEWSKIEJ" ABUL KASSEMA FIRDAUSIEGO

Abul Kassem Mansur Firdausi (Rajski), największy z poetów dawnej Persji i jeden z największych epików świata, urodził się około r. 935 naszej ery w okolicach miasta Tus w Chorosanie. Jakie było jego dzieciństwo, nie wiemy. To pewna, że raczej rwał się do nauki, niż do zabaw z rówieśnikami i że w swojej sferze—jak to się dziś mówi, ziemiańskiej,—był cudownem dzieckiem, gdy dość wcześnie opanował nietylko język wytwornych, arabski, ale i ludowy, pehlewi. Wcześnie też zapalił się do starych podań bohaterskich i legend, wśród ludu zachowanych, zaczął je zbierać i „rymować". Tak powstał epos *Szah-Name* („Księga Królewska") obejmujący podania od czasów zamierzchłych aż po zabór Persji przez muzułmanów.

Firdausi zawarł w *Księdze* większość narodowych podań perskich i, nie sprzeniewierzając się w niczem zasadzie wierności, dał im kształt tak skończenie artystyczny, podniósł je na wyżyny takiej doniosłości literackiej, wyraził tak całkowicie genjusz poetycki swojej rasy, że po dziś dzień *Księga Królewska* nie przestała być przedmiotem zachwytu uczonych, niedościgłym wzorem dla pisarzy, rozkoszą dla czytelników.

Przełożono *Księgę* na kilka języków europejskich. Lucjan Siemieński dał jeden z fragmentów.

(Przypisek tłumacza.)

SPOTKANIE ZALA I RUDABEH

Już słońce w dali skryło twarz opłomienioną,
już wrótnię do dworzyszcza i dźwierze zamkniono
i klucze w pęk zesuto, gdy przy Zalu stanie
służka pięknej Rudabeh i powie:
— Chodź, panie,
wszystko gotowe!

Idzie we dworzyszcza książę,
jak się godzi iść ku niej, z którą losy wiąże
na zawsze!

Czarnooka i różanolica,
smukła, ni cyprys, pełnią patrzący księżyca,
panna królewska czuwa na tarasie dworzyszcz
i, ujrzawszy Destana, tkliwie się zatrwoży
i woła:
— Tutaj losy przywiodły cię dobre,
o panie! Szczęść się, szczęść się twojej duszy chrobrej,
ojca dzielnego synu i dziedzicu dzielny!
Niechaj bóg cię otoczy łaską nieśmiertelny
i niech pod stopy twoje niebiosów nachyli!
Jeżeliś mi przez służki opisan najmilej,
niema w tem kłamstwa! Nocą, sam, przybyłeś pieszo!
Zaraz się stopy twoje spoczynkiem ucieszą!

Słucha Zal pozdrowienia, co, jak pieśń, roztrąca
cichość, i widzi piękną, podobną do słońca.
Wokół niej, rzekłbyś, owym błękitu klejnotem
zakwitły krenelaże rubinem i złotem!
I oto Zal odpowie:
— O, licem księżyczna!
Bądź mi błogosławiona niebem, moja śliczna!
Ileż razy klękałem pod gwiazdą północy
i prosiłem u boga łaski i pomocy,
aby ciebie oglądać! Jam dziś szczęście spotkał,
kiedy mnie tak pozdrawiasz, o królewno słodka.
Jedną się tylko smucę rozłąką i chmurzę:
ja, u wrótni, na dole, ty, za wrótnią, w górze,
pragnienie zbliża, mur nas od siebie oddala.
Co robić?

Więc Rudabeh waży słowo Zala
i, podobna do Peri, tęsknocie książęcej
współczuje i unosi ponad czołem ręce,
muska bujne kędziory i jeden z warkoczy
ciemnych, jak noc (gdy nawet księżyc się omroczy),
rozpierścieni, rozwinie, rozpłoszy, rozplecie
i wdół ciska z okrzykiem:
— O Pehlewi, dziecię
odważnych, prędzej, śpiesz się, lwiem pokrzep westchnieniem
pierś szeroką i siły spręż w sobie na mgnienie,
i ogarnij, i pochwyć warkocz, wić tę ciemną,
i wespnij się tu, w księżyc, i stawaj przede mną
w promieniach!

Słowom panny księżycznej się dziwi
Syn chrobrego władyki, lecz się nie przeciwi.
Całuje warkocz: panna czuje pocałunek.
Powiada Zal:
— Ej, klnę się na tę jasną łunę,
na te wśród nieba jutrznie błyszczące, na słońce,
że nie dobędę miecza przeciw miłującej,
ani serc oszalałych sięgną kiedyś groty!

To rzekł i służce z dłoni czarne weźmie sploty,
zawiąże na warkoczu supeł, rzuca w górę
i nagle wielkim skokiem zawisa nad murem
i siada.

A do Peri podobniejsza panna
pozdrawia go i rękę uściśnie Destana,
i uchodzą, oboje szczęściem odurzeni,
wgląb dworzyszcza. Rudabeh na licu się mieni
i trzyma dłoń książęcia.
Komnaty przed niemi
królewskie, jaśniejące brzaskami złotemi,
jak raje, pełne światła. Rząd służebnic stoi
i czyta z diamentowych źrenic pani swojej,
Rudabeh, wolę cichą jej oraz życzenie
kryjome. Oczy Zala uderza olśnienie :
jej to lice, kędziory w srebrzystej nałęczy,
jej dziewczęce powaby w tej przeźroczej tęczy,
w pierścieniach, w ramiennikach, w zauszniczkach cennych,
które zdają się z kształtu ni pszczoły w wiosennym
ogrodzie! A jagody królewskiej tej panny
są jakoby wśród lilij kraśne tulipany,
a kędzior za kędziorem się wije! Pehlewi,
przy księżycznej królewnie słoneczny królewic,
na czole, jak przystoi, ma z rubinów diadem,
a krzywy miecz na piersiach. Spoglądaniem radem
obejmie wraz Rudabeh owe sobie miłe
ramiona i uwielbi zaklętą w nich siłę,
krzepkość, co łamie cedry, skałą w niebo śmiga
i jeno woli bożej nie słuchać się wzdryga.
Zaś im więcej nań patrzy, tem kocha goręcej!
W najsłodszem upojeniu Zal całuje ręce
Rudabeh! Lwu czyż umknie się z objęć kozica?

I rzekł Zal do królewny:
— O księżycznolica,
o srebrna, o cypryśna, która piżmem pachniesz!
Wiem, piękna, że wbrew tobie Minuczer się żachnie,
że na te dziewosłęby Sam, Nerimanowic,
mój ojciec, gniewny będzie i przeciw synowi
dłoń karzącą podniesie. Wszelako nie stoję
ani o ciało, ani o życie się boję.
Bo mdłe zetli się ciało, żywot zgaśnie: żałuj,
czlecze; prochu, minąłeś i owiń się w całun!
Ale przysięgam, panno, przebóg! o, na ramię
sprawiedliwe, że wiary ci nigdy nie skłamię
i że boga ubłagam żarliwemi modły,
by wyżenął nienawiść i złość, które zwiodły
Minuczera i Sama, pysznego koroną
królów nad królc. Miła, tyś jest moją żoną
przed bogiem i przed światem!

A na to królewna,
Rudabeh:
— Bądź mi świadkiem, boże, jakom rzewna,
jakom się klątwą klęła i twojem imieniem,
żem powinna Zalowi po ostatnie tchnienie,
że jeno Zal uwieńczon dla mnie Pehlewanem,
że on dla mnie klejnotem, i chwałą, i panem
jedynym!

. . . W błogie rozkosz chwyciła ich pęta
i kołysa, i tuli, aż się zapamięta
Zal i słodka, do Peri podobna, Rudabeh.
A już z ogrodu wiewy przybieżały, słabe
jeszcze od snu, już zorza na wschodzie się pali,
już i surmy i kotły grają z cichej dali
u namiotów różanych w obozie książęcia!
Dopieroż Zal się ocknie w pieściwej objęciach
Rudabeh i we dwoje płaczą rychłej pory
rozstania:
— Ach, że ranek tak skory, tak skory!
Daruj nam jeszcze chwilę, niepoczciwe słońce!

Żegna Zal pocałunkiem jej lice płonące
i powieki, i z muru poza wrótnię skacze,
i znika!

Przełożył *JANUSZ KAWECKI*

Istnieje jednak poważniejszy przeciwnik, niż teren i klimat: zwarta opinja miłośników Tatr.

W ostatnim *Kwartalnym Biuletynie Informacyjnym Delegata Ministra do spraw Ochrony Przyrody* (październik 1933), znajdujemy następującą informację:

„W czasie od 19 stycznia 1934 do końca września 1935 ukazało się w prasie 390 artykułów i notatek przeciw kolejce, zamieszczonych w 91 pismach. W tym okresie za budową było w prasie 67 artykułów (w tem w *Ilustrowanym Kurjerze Codziennym* i *Światowidzie* 49)“.

Mniejsza zresztą o czysto formalną przewagę liczebną: ważniejszą rzeczą jest argumentacja.

W jednym z artykułów polemicznych, poświęconych zagadnieniom gospodarczym Polski współczesnej (*Gazeta Polska* 13. X. b. r.), Ignacy Matuszewski pisze:

„Jeżeli wolno przymus stosować tam, gdzie chodzi o Państwa byt i siłę, to n i e w o l n o stosować go tam, gdzie chodzi o przywileje jakiejś klasy, wszystko jedno, szlacheckiej czy urzędniczej... Kiedyś pono Radziwiłł Panie Kochanku „kazał w Nieświeżu założyć morze“. Dziś gdy patrzę np., jak wsadzamy kilka miljonów zł. w budowanie kolejki na Kasprowy, wydaje mi się, że widzę w minjaturze podobny objaw“.

Słowo minjatura mogłoby raczej być zastosowane do zachcianki Radziwiłła. Zamierzał on bądź co bądź realizować ją z własnej szkatuły, na własnym folwarku, i nikomu przez to krzywdy nie czynił. Natomiast „Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“, prowadząca budowę kolejki, wtargnęła na teren, uznany przez naród i władze państwowe za nietykalny, gdyż stanowi własność nietylko współczesnej Polski, ale i p r z y s z ł y c h jej pokoleń. Roboty przygotowawcze tej spółki obalają nietylko kilkusetletnie drzewa: podcinają one także autorytet Polski wobec kulturalnego świata. Polska to bowiem przed 10 laty była inicjatorką konwencji z Czechosłowacją o rezerwaty tatrzańskie. Przedstawiciele nauki polskiej i czechosłowackiej, zebrani w Krakowie w 1925 roku, z inicjatywy Polskiej Akademji Umiejętności i Czeskiej Akademji Nauk, uznali, że:

„Wysoce szkodliwe, a pod względem gospodarczym nierealne i niedopuszczalne są jakiekolwiek kolejki szczytowe we właściwych Tatrach. W razie istotnej potrzeby, budowa takich kolejek możliwa jest tylko u podnóża Tatr“.

Rada Ochrony Przyrody jednomyślnie zaprotestowała w dniu 20 marca 1934 przeciw ujawnionemu planowi budowy kolei linowej w Tatrach. Protest ten został przedłożony p. Ministrowi W. R. i O. P. w gruntownie opracowanym memorjale.

Analogiczny memorjał złożyła Liga Ochrony Przyrody wszystkim ministrom. W czasie od 26 stycznia do końca czerwca 1934 94 towarzystwa i instytucje naukowe, krajoznawcze i turystyczne uchwalają protesty przeciwko zamierzonej budowie kolejki w Tatrach.

13 maja 1934 weszła w życie „Ustawa o ochronie przyrody“.

Pomimo to rozpoczęto budowę: przecinano przesieki leśne, wznoszono prowizoryczne wieże drewniane, rozsadzano skały.

29 lipca 1935 do rejestru handlowego wpisane zostało „Towarzystwo budowy i eksploatacji kolei linowej Zakopane (Kuźnice) — Kasprowy Wierch, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością w Warszawie“, o kapitale zakładowym 200.000 zł.

13 sierpnia Delegat Ministra W. R. i O. P. do spraw ochrony przyrody (powołany na to stanowisko przed 15 laty przez pierwszego ministra oświaty w Polsce, Ksawerego Praussa) podał się do dymisji, a cała Rada Ochrony Przyrody złożyła mandaty do rąk Ministra W. R. i O. P., zaznaczając w ten sposób swój protest przeciwko lekceważeniu ustawy i jej państwowych organów wykonawczych. Statystyka ilości spraw, załatwionych przez Państwową Radę Ochrony Przyrody w ciągu 15-lecia, i doniosłość wykonanych przez nią prac są tak imponujące, że instytucja ta służy za chlubny wzór na terenie międzynarodowym. Tak stanowczy krok ze strony jej przedstawicieli, równający się niemal uznaniu bankructwa idei ochrony przyrody w Polsce, dowodzi powagi sytuacji. Dymisja nie została jeszcze przyjęta, sprawa więc pozostaje otwarta. Wiadomo tylko, z krakowskiego Urzędu Wojewódzkiego z dnia 19 września b. r., że:

„pan Minister Komunikacji reskryptem z dnia 16 września 1935 r. zarządził komisyjne zbadanie projektu budowy powyższej kolei“.

Tak wygląda, pobieżnie przedstawiona, formalna strona sprawy.

A jej istota?

Rozmaici bywają miłośnicy przyrody. Kłusownik po swojemu miłuje kozicę i świstaka, i dlatego pozbawia je życia. Grupa kapitalistów, zamierzająca eksploatować Tatry przez pozbawienie ich raz na zawsze tego, co jest najistotniejszym ich czarem, rozpoczyna zachłanną i niszczącą działalność pod pretekstem przysłużenia się sportowi narciarskiemu. Jest to tylko pozór, gdyż tak, jak dobry jeździec nie potrzebuje stołka, aby dosiąść konia, tak dobry narciarz uważa „deski“ za właściwe narzędzie sportu i nie lęka się trudów zdobycia szczytów przy ich pomocy. Przed takim narciarzem stoją otworem całe Tatry, a nie jedna tylko restauracja na Kasprowym Wierchu. Argument zatrudnienia bezrobotnych jest również tylko pretekstem: wobec ogromu istotnych potrzeb komunikacyjnych w Polsce znalazłaby się praca dla wielokrotnie większej ilości bezrobotnych, gdyby te same pieniądze były użyte na cele prawdziwej użyteczności publicznej, choćby w zakresie naprawy dróg. A w innych dziedzinach polskiego życia gospodarczego ileżby można dokonać za te miljony: bądź w akcji przeciwpowodziowej, bądź w walce z bezdomnością!

Walka o Kasprowy Wierch, którą traktuje się czasem jako groteskową burzę w szklance wody, ma w sobie doniosłość symbolu. Idea ochrony przyrody jest wytworem wyższych wartości duchowych człowieka. Przeciwstawia się jej kult przeciętności, dążenie do ułatwionego życia, niechęć do rzeczy wielkich i mało dostępnych.

Niewątpliwie, „człowiek, zbrojny w mądrość techniki“, upora się z terenem i klimatem. Ale nie tak łatwo pójdzie z sercami tych, dla których Tatry są czemś więcej niż terenem eksploatacji.

TADEUSZ KORNIŁOWICZ

KU CZCI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

ZJAZD BIBLJOTECZNY I WYSTAWA W KRAKOWIE

W tegorocznym dniu święta Niepodległości Kraków był świadkiem niepowszedniej manifestacji hołdu i czci dla władcy duchowego Polski, odrodzonej pod Jego przewodem. W nieustającym potoku coraz to nowych przejawów czci pozgonnej dla Józefa Piłsudskiego odbył się obchód uroczysty, który zjednoczył niewielkie grono, około 300 osób, bibljotekarzy i bibljofilów polskich. Obchód ten połączył dokoła postaci Pierwszego Marszałka Polski, jako pisarza, redaktora, wydawcy i drukarza, pracę i wysiłki organizacyjne, zmierzające do wyczerpującego poznania i przedstawienia szerszemu ogółowi faktów historycznych i dokumentów graficznych, składających się na całość zagadnienia: Józef Piłsudski i książka.

W obchodzie tym należy odróżnić trzy niejako etapy. Był to przedewszystkiem ogólny nadzwyczajny zjazd pracowników bibljotecznych i miłośników książki, zwołany dla złożenia hołdu w grobach królewskich na Wawelu Budowniczemu Państwa i dla przekazania ziemi z mogiły Joachima Lelewela, z Wilna (w urnie ręcznie kutej w miedzi według projektu art.-grafika F. Seiferta przez A. Żyłę) wyniosłej mogile symbolicznej na Sowińcu. Drugim etapem, jaknajściślej związanym z tym zjazdem, jest otrzymany przez uczestników prospekt księgi, którą wyda Towarzystwo Miłośników Książki i Koło Krakowskie Związku Bibljotekarzy Polskich dla upamiętnienia hołdu, złożonego cieniom Pierwszego Marszałka Polski w dniu 11 listopada 1935 roku. Księga w formie 4-o obejmie około 15 arkuszy druku z licznemi ilustracjami i wyjdzie w początkach 1936 roku pod redakcją: Z. Klemensiewicza, E. Kuntzego, W. Pociechy, L. Strojka i K. Witkiewicza. W zbiorowej tej pracy ukażą się artykuły: *Józef Piłsudski wśród książek* S. Konopki, *J. Piłsudski jako prelegent Uniwersytetu Ludowego* H. Orszy-Radlińskiej, *J. Piłsudski w drukarni i redakcji* L. Wasilewskiego i in. oraz *Zestawienie bibljograficzne prac Marszałka Józefa Piłsudskiego* w opracowaniu S. Gizy. Na uroczystem otwarciu zjazdu, w sali odczytowej Miejskiego Muzeum Przemysłowego, wygłoszone były dwie prelekcje, które ukażą się w tej księdze: majora Stanisława Konopki i ministra Leona Wasilewskiego (ostatnia w wyjątku odczytanym przez dyr. Zygmunta Klemensiewicza). Dlatego określamy ten zespół prac jako drugi etap zjazdu. Samo wyliczenie tematów i nazwisk autorów świadczy, że publikacja ta będzie pierwszorzędnym zbiorem prac, oświetlających postać i zainteresowania Marszałka w ramach nawet szerszych niż tytuł tej księgi—*Józef Piłsudski pisarz, wydawca i drukarz*—, bo traktujących również o Piłsudskim jako czytelniku (w niezmiernie dokładnej i sumiennej pracy S. Konopki), jako prelegencie oświatowym, a może i o innych jeszcze aspektach zagadnienia postaci największego Polaka w jej projekcji niejako na ekran świata książki i grafiki.

Trzecim etapem obchodu, centralnym momentem nietylko dla jego uczestników, ale dla całego ogółu oświeconego w Polsce, jest wystawa książki i grafiki, związana z osobą Józefa Piłsudskiego. Obejmuje ona prace publicystyczne i historyczne Marszałka—od szarej bibuły „nielegalnej“, poprzez najrozmaitsze wydania i zbiorowe dzieła chronologicznie ułożone aż do wydanych ostatnio tomów edycji *ne varietur*—; dalej wszelkie wydawnictwa i dokumenty o charakterze typograficznym z okresu od zarania walk niepodległościowych aż do chwil ostatnich, pieśni i nuty ku czci Marszalka, Jego autografy, ikonografje, rzeźby, medaljony, rysunki, fotografje, plakiety i odznaki, nakoniec zbiór afiszów, druków i żałobnych emblematów z pogrzebu Wodza Narodu. Objektów tych dostarczyły najbardziej powołane instytucje z Bibljoteką Jagiellońską na czele, a najszacowniejszą ozdobą wystawy są dzieła, dokumenty i pamiątki ze zbiorów w Belwederze, Sulejówku i Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych, których wybór dokonany został, jak nas informowali organizatorzy wystawy, pod okiem i za zgodą pani Marszałkowej Piłsudskiej. Wystawa będzie otwarta przez cały miesiąc w trzech salach Muzeum Przemysłowego (Smoleńsk 9). Urządzona staraniem Tow. Miłośników Książki, Krakowskiego Koła Związku Bibljotekarzy, Dyrekcji Archiwum Akt Dawnych Miasta Krakowa, pod protektoratem Prezydenta m. Krakowa, jest ona wynikiem przedewszystkiem niestrudzonej pracy komitetu z p. Kazimierzem Witkiewiczem na czele, wicedyrektorem instytucji, w której murach się mieści, i prezesem Tow. Miłośników Książki w Krakowie. Stworzono całość estetycznie przemyślaną we wszystkich szczegółach, pozostawiającą niezatarte wspomnienie.

W harmonijnej współpracy zbiegła się w tem dziele pierwszej podobnej wystawy w Polsce cześć dla Ojca Ojczyzny z charakterystyczną dla tradycji krakowskiej kultury pasją wiedzy dokładnej i rozkochanej w precyzji źródłowego odtwarzania rzeczy. Do ostatniej chwili nadchodziły na wystawę wciąż nowe druki i przedmioty, z zagranicy zwłaszcza za pośrednictwem naszych konsulatów zgłaszane, i to jest objektywnym dowodem, jak powszechne było zrozumienie doniosłości podobnego obchodu tam wszędzie, gdzie w porę nadeszły wieści o tym projekcie. Zebrane przedmioty stanowią oczywiście drobny ułamek wszystkiego, co w myśl intencji organizatorów mogło tu być wystawione, ale osiągnięto bez wątpienia cel najważniejszy: pokazano wyraźne kontury zasięgu badań i zbieractwa autografów, druków, grafiki dokoła osoby Józefa Piłsudskiego. Zbiór dzieł obcych o Nim w szesnastu językach, polskie Piłsudskiana w nieznanym bibljografom-specjalistom komplecie, książki Jego własne najmilsze, czytane jeszcze w tym roku... Plony wystawy tej stać się powinny początkiem intensywnych, planowych, na państwową i nawet światową skalę podjętych badań i prac konserwatorskich, porządkujących i unaoczniających nam i potomkom całość świadectw w grafice i w druku, czem był, jest i będzie dla Polski Józef Piłsudski.

K. G. ZIELENIEWSKI

*

REWJA PISARZY

(*Pologne Littéraire* rok X. Nr. 106—110: *A la glorieuse mémoire du maréchal Józef Piłsudski*).

Jeszcze jedna rewja... już tylko przed duchem Tego, który odszedł. Pisarze całej Europy, i nietylko Europy, składają hołd Marszałkowi Piłsudskiemu.

Mamy tu więc generałów (marszałek Pétain, generał Henrys, generał Kondylis, generał Blaha, generał Roska-Orasmaa etc.), mężów stanu i polityków (Millerand, Leméry, lord Kennet, Kallay, Romanones, Gil Robles, Koki Hirota, G. Bratianu i wielu in.), dyplomatów (Tommasini, Post, Vasconcellos, Munters etc.), pisarzy (André Maurois, Hilaire Belloc, Karin Michaelis etc.), profesorów (E. J. Patterson, Nestić, Krejci, Gunnarsson, Gonzague de Reynold, vicomte Ch. Terlinden, Hajo Brugmans etc.), dziennikarzy (Wickham Steed, Paul Bourquin etc.). Brak w tym wspaniałym chórze przedstawicieli Niemiec i Z. S. S. R. W zwyczajach pisarzy Z. S. S. R. zapewne nie leżałoby choćby... pochylenie szpady przed Zmarłym Przeciwnikiem. (Chociaż, czy Józef Piłsudski był naprawdę wielkim przeciwnikiem Z. S. S. R.? — nad tem zdałoby się podyskutować). Ale z Niemiec możnaby dostać głosy liczne i ciekawe i tutaj trudno nie dopatrzyć się jakiegoś niezrozumiałego zaniedbania.

Walor tych głosów jest może różny, choć wszystkie są równie cenne przez swą dobrą wolę, szlachetny sentyment i zainteresowanie do Polski i do jej Człowieka. Trochę jest w tem czasem naiwności dla czytelnika polskiego; nie bez sceptycyzmu np. patrzymy na analogje, jakie snują przedstawiciele różnych narodów między Józefem Piłsudskim a swoimi wybitnymi ludźmi. Tembardziej uderza w innych wypowiedziach nietylko rzeczowość, ale i uchwycenie pewnych rysów, których polski pisarz możeby nie wyczuł. Najciekawsze są może głosy pisarzy angielskich, szczególnie ujmuje ich rzeczowe, proste, wstrzemięźliwe po angielsku stwierdzenie wielkości Marszałka i straty, jaką z jego śmiercią poniosła Europa. Sentymentem zaś może najbardziej biorą nas głosy naszych przyjaciół z krajów bałtyckich.

Bogaty w treść i rozmiary numer Marszałkowy *Pologne Littéraire* zdobią obfite, dobrze zestawione fotografje.

K. Z.

*

JÓZEF PIŁSUDSKI I JEGO LEGJONY W MUZYCE I PIEŚNI. Monografja zbiorowa pod red. M. Glińskiego. Numer specjalny miesięcznika *Muzyka*, nr. 127—9. Warszawa (1935). Str. 62, 1ilb. i 4 plansze.

Do pism, które dzielnie walczą z kryzysem, należy *Muzyka*, wychodząca nieprzerwanie od lat dwunastu. Żywą jej treść bieżącą, wypełniającą miesięcznik, wzbogacają dodatkowe zeszyty o charakterze monografij jak „Muzyka polska“, „Nowa muzyka“, „Taniec“ i t. p. Jedenastym z kolei takim tomem monograficznym jest numer, poświęcony pieśni legjonowej i muzyce powstałej w związku z historją Polski ostatniego dwudziestolecia i jej naczelną postacią, Józefem Piłsudskim.

Ozdobnie wydany zeszyt otwierają mądre i serdeczne słowa Piłsudskiego, wypowiadane w różnych okazjach o sztuce wogóle i o pieśni żołnierskiej w szczególności; dalej idą krótkie ustępy pióra legjonistów z twórcą tekstu *Pierwszej Brygady*, T. Biernackim, i autorem licznych, ogromnie lubionych, ale niecenzuralnych zwrotek obozowych (pomyślanych przeważnie do francuskich melodyj), gen. B. Wieniawą-Długoszowskim, na czele.

Potem mówią muzycy: Gliński, Klechniowska, Korolewicz-Waydowa, Maklakiewicz, Waljewski, którzy snują wspomnienia, lub omawiają powstanie pewnych czołowych pieśni i kompozycyj o tle historycznem. Wreszcie bardzo skrzętny bibljograf, prof. F. Starczewski, daje niezupełną, wedle słów własnych, ale i tak ogromną listę muzycznych wydawnictw legjonowych i kompozycyj ku czci Piłsudskiego. Ta mnogość domagałaby się, ze względu na honor muzyki polskiej, rozumowanego katalogu i starannej segregacji pod względem artystycznym.

Z artykułów treści ogólnej najbardziej może zajmujące są rozważania d-ra Zetowskiego, schodzące się w opinji zasadniczej ze słowami b. legjonisty Pomarańskiego (Brzózki), na temat obcej, jak wiadomo, muzyki *Pierwszej Brygady*. Autor zaznacza, że o „narodowości“ melodji patrjotycznej decyduje — obok zżycia się z nią społeczeństwa — zespolony z nią nierozerwalnie tekst, którego treść wstrząsnęła narodem. Zaleca dr. Zetowski domorosłym urabiaczom opinji, by nie starali się przekonywać Polaków, iż śpiewają ze słowami *Pierwszej Brygady* rzecz swojską, lecz, by wierzyli, że ta melodja — jak inne obce z czasów powstań — została unarodowiona przez swą treść. Rozgrzesza więc autor Polaków z tego, że główną pieśń historyczną ostatnich lat złączyli z muzyką obcą, a tem samem słusznie doradza przejście do porządku dziennego nad tą kwestją.

Nie rozgrzeszają nas jednak słowa samego Piłsudskiego, który, w swych przemówieniach i pismach, cytowanych w wyjątkach w omawianej monografji, podkreśla znaczenie dla „kultury polskiej“ pieśni żołnierskich, które „w y c i s k a ł y i w y c i s k a j ą t y l e o b c y c h n a b y t k ó w przyjętych przez polskich żołnierzy z armij obcych“.

Toteż, abstrahując od rozwiązanego już przez przypadek, a utrwalonego przez historję i sentyment narodowy zagadnienia muzyki *Pierwszej Brygady*, trzeba się trochę zadumać nad tem, z jakiemi melodjami mógłby się dziś lub jutro skojarzyć natchniony wielką chwilą poemat, skoro uszy mamy pełne tang argentyńskich i hiszpańskich, walców wiedeńskich i angielskich i niewiadomo już skąd rodem „stepów“, „foxów“ i rumb. A wracając na chwilę wstecz, zapytajmy: dlaczego np., w miejsce tradycyjnej, prostej melodji do słów „na wojence jak to ładnie“, nietylko przeciętny żołnierz i szary obywatel, ale wybitni polscy muzycy tworzący układy chóralne i orkiestrowe wolą pospolitą węgierską piosenkę, której przystosowanie do słów polskich wypacza rytm naszego języka i gwałci akcent wyrazów?

Przy takiej okazji możnaby przypomnieć nieuporządkowaną do dziś pod względem harmonizacji i instrumentacji pieśń *Jeszcze Polska nie zginęła* i dodawszy do niej sprawę już poruszoną, klasyfikacji muzycznej literatury legjonowej i polegjonowej, przedstawić je państwowym władzom muzycznym jako *memento*.

I jeszcze parę słów z powodu artykułu red. Glińskiego o *Veni Creator* Wyspiańskiego, którego historja wiąże się, jak wiadomo, z wcześniejszym ruchem niepodległościowym. Znamy ją ze wspomnień Żeromskiego i Sokolnickiego; specjalne zaś, bardzo szczegółowe studjum poświęcił jej L. Płoszewski. („Stanisława Wyspiańskiego orędzie“ *Silva Rerum*, tom V i osobna odbitka, Kraków, 1930). Studjum to, niestety, uszło uwagi p. Glińskiego, stąd do jego artykułu wkradła się informacja mylna, która wskutek popularności wydawnictwa, będzie się teraz rozszerzać. Twierdzi p. Gliński, że Wyspiański napisał swoją wersję *Veni Creator* „pod wrażeniem spotkania z Piłsudskim i na Jego prośbę“. Tymczasem, jak stwierdza Płoszewski ponad wszelką wątpliwość, bo na podstawie konfrontacji wspomnień Żeromskiego z własnemi notatkami Wyspiańskiego, transkrypcja hymnu *Veni Creator* powstała przed zetknięciem się poety z Piłsudskim. Z ideą Piłsudskiego wiąże się więc nie samo powstanie utworu, ale myśl uczynienia z niego „orędzia“ narodowego i projekt odpowiedniego jego wydania, który jednak do skutku nie doszedł. Szczegóły te, w imię prawdy, powinny być sprostowane.

Do dyssonansów tej pięknej naogół publikacji muzycznej, złożonej w hołdzie pośmiertnym J. Piłsudskiemu, należą niepotrzebne w jednym z artykułów akcenty polemiki politycznej, niegustowna ilustracja Horowicza i niefortunnie przez p. Maklakiewicza przeprowadzona interpretacja *Bogurodzicy*, której pewne szczegóły wyglądają, w świetle dzisiejszej wiedzy, cokolwiek zanadto po gospodarsku.

J. B. B.

T E A T R

TEATR NARODOWY: *Uciekła mi przepióreczka*, komedja w 3 aktach STEFANA ŻEROMSKIEGO, reżyserja Juljusza Osterwy.

Może bardziej przez szacunek dla pamięci Żeromskiego niż przez lenistwo dano sztukę w postaci niezmienionej, tak jak została opracowana z udziałem pisarza przed jedenastu laty. Wróciła więc na scenę ta sama brzydka dekoracja izby szkolnej, tyle że ją czas trochę zaszargał. W ten sam sposób kręcili się po scenie profesorowie, imitując bezład zbiorowiska inteligenckiego. Tak samo Smugoń, choć grał go inny aktor, schylał się do nóg Przełęckiego i usiłował pocałować go w rękę...

Na widok tych niezwykłych, doprawdy pańszczyźnianych, gestów pokory nauczyciela wiejskiego wobec docenta uniwersytetu budziły się mocne wątpliwości: czy dobrze było pokazywać *Przepióreczkę* w tej starej formie? Może wyszłaby lepiej na nowej inscenizacji — takiej, któraby zbliżając w miarę sił sztukę do dzisiejszego widza, pozwoliła poddać się bez zastrzeżeń urokowi jej skupionego i radosnego artyzmu. Tak jak jest — komedja wywołuje chęć gwałtownego sprzeciwu. W świadomości zbiorowej, wstrząsanej doktrynami przebudowy kultury, zaszły niewątpliwie w ciągu dziesięciolecia zmiany ogromne. Mimo tendencyj wprowadzenia, tu i ówdzie, hierarchji czołobitności, uprościły się i zdemokratyzowały stosunki między ludźmi różnych klas. Tak bardzo, że na Przełęckiego i Smugonia patrzymy z niedowierzaniem. Czyż to możliwe, — pytamy zdumieni — aby upłynęło dopiero jedenaście lat od czasu, kiedy Żeromski tak widział w najpiękniejszem marzeniu pracę regjonalną? Nie trzydzieści, nie pięćdziesiąt? — Rzecz dzieje się w okresie, kiedy chłop jest premjerem, chłop marszałkiem Sejmu, przez kraj idzie wicher haseł demokratycznych — i oto w wyobraźni pisarza, wrażliwego jak mało kto na społeczną atmosferę czasu, stosunki inteligencji miejskiej ze wsią przybierają formę jakiejś szlacheckiej sielanki. Jakże bardzo szlacheckiej! Przecież nie możnaby bez komentarza, dość żenującego, pokazać tej sztuki demokratycznym społeczeństwom Zachodu — nie dałaby się bowiem przetłumaczyć na język obyczaju, ustalającego zachowanie się wzajemne np. prostackiego *l'instituteura* z pod Pirenejów i znakomitego profesora Sorbony, nawet nie rywala. Więcej. Nie możnaby pokazać *Przepióreczki* oświeconej publiczności wiejskiej, np. gronu nauczycieli, bez urażenia do żywego ich dumy i ambicji.

Zwłaszcza, że „szlachetczyzna" sztuki nie kończy się na uczynkach chłopskiej pokory Smugonia — te możnaby usunąć bez większej szkody. Jest głębiej: w samych zasadach „społecznikostwa" Przełęckiego. Idea kursów to przecież ciągle idea „uwłaszczenia", teraz „uwłaszczenia" kultury. Docent fizyki chce obdarować lud nauką, jak pokrewni mu szlacheccy reformatorzy ziemią, bo taka jest jego pańska wola, takie są jego obyczaje. Nie przychodzi mu do głowy, jak nie przychodziło ziemiańskim idealistom, że przy uznaniu słuszności sprawy tamtych ludzi niema co robić min łaskawcy. Zwłaszcza przy „obdarowywaniu" kulturą — wspólną. Zawieszenie latarni zwiastującej burze na zamku w Porębianach to poprostu bardzo skromny zwrot tych korcy zboża, które poszły na probówki i narzędzia fizyczne pana docenta, na przygotowanie jego mózgu do zrozumienia teorji Einsteina. Przydałoby się więcej skromności i prostoty. Bo, ostatecznie, cała ta jego romantyczna ofiara dałaby się streścić w obelżywem: Masz chłopie żonę z mojej łaski, ale mi teraz na moim kulturalnym folwarku pracuj za czterech. za dziesięciu! — Panie mój — odpowiada schylony chłop — ręce sobie urobię po łokcie...

Z tem wszystkiem *Przepióreczki*, jednej z najpiękniejszych komedyj polskich, nie czeka wesoła przyszłość. Za kilkanaście lat zdarzyć się może tak, że trudno będzie wystawiać ją inaczej, niż oświetlając podobnie, jak granego niedawno *Majstra i czeladnika*. „Wspaniały dobroczyńca" Przełęcki, choć wyrosły z najlepszych marzeń Żeromskiego, będzie poruszał się pretensjonalnie i mówił z afektacją, zaznaczając w ten sposób wobec krytycznego widza, że jest wyznawcą spraw już obcych i przezwyciężonych.

W obecnem przedstawieniu miało się lekki przedsmak takiej interpretacji — rzecz prosta, niezamierzonej. Przy całej doskonałości środków aktorskich Osterwy, jest w jego postaciach jakaś—coraz wyraźniejsza—kokieterja, narcyzowate lubowanie się okrągłością gestu i przyjemnem brzmieniem głosu. Przełęcki, wygrażający Smugoniowi laseczką, wdzięczący się (nieznacznie) i czarujący (o wiele wyraźniej), źle broni swojej sprawy, którą możnaby tymczasem skryć pod kanciastością ruchów i prostotą obejścia. Wiele również mógłby tu zrobić Smugoń spokojny i zgodny, przejawiający w prośbach ambitną wstydliwość. Ale Dominiak dał mu impetyczną uczuciowość, zrobił całkiem bezradnym i zdanym na łaskę i niełaskę narwanego panka. Chciało się pomóc mu okrzykiem: Weźże się raz na ambit człowieku, trzymaj się, choć szkoda żony! W skrytości serca trudno było nie przyznać, że rzeczywiście szkoda. Tak wiele, odrzucając łatwe efekty nachmurzeń skrywanej miłości, dała Modzelewska postaci Doroty uroku i świeżości.

TEATR ATENEUM: *Turoń*, dramat w 3 aktach STEFANA ŻEROMSKIEGO, reżyserja Stanisławy Perzanowskiej, dekoracje Władysława Daszewskiego.

W obecnem stadjum ewolucji aktorskiej Jaracza bliższa mu jest niewątpliwie rola Szeli niż Smugonia. Gniewy społeczne od kilku lat przeobrażają zupełnie tych jego ludzi pokornych, bezbronnych i słabych, których krzywda nikomu niepotrzebna i pozbawiona sensu tchnęła tak udzielającym się smutkiem. Tem przenikliwszym, że o tę ich straszną dolę nie można było kogoś winić — prócz potęg, niedosięgłych dla zemsty ludzkiej: „losu", „życia". Ale już Szwejk przez pokorę kpiącą i podstępną, szewc z Koepenick przez mściwy śmiech wskazywali winowajców, bardziej uchwytnych. Teraz Szela tych winowajców znajduje i wymierza sobie sprawiedliwość. Niewiele zostało w nim — zawsze trochę zostało—przerażonej uległości wobec sił, miotających człowiekiem jakiegoś Siewskiego z *Uśmiechu losu* czy Frania z *Szczęścia Frania*. Zmienił się tu zupełnie wygląd: głowa, niegdyś schowana w skulone ramiona, teraz trzyma się na nich prosto, drżące dłonie zaciskają się w pięści, niepewne ruchy nabierają hamowanej gwałtowności — postać staje się bryłowata, barczysta, pełna sprężonej siły. Taki Jaracz-Szela wypadł z tłumu uzbrojonych chłopów, aby w domu gotującego się do powstania Krzysztofa Cedry odprawić swój sąd. Trudno rozstrzygnąć, czy w tej nowej postaci Jaracz jest równie jak poprzednio przekonywający. Na jego obronę, jeśli nie jest, możnaby powiedzieć, że trudno mu było znaleźć słowa dość wymowne w roli — niema w niej bowiem tego tętna namiętności autora, jego uczuciowej solidarności z postacią, co decyduje o jej „żywości". Żeromski w najbardziej namiętnych oskarżeniach szlachty nie staje przy Szeli. Ten mściciel krzywdy chłopskiej nie ma tutaj zupełnie przypisywanego mu przez niektórych pamiętnikarzy (np. Ludwika Dębickiego) nadludzkiego spokoju „mistyka i sekciarza w siermiędze", wypełniającego „ze słowami Pisma św. na ustach" nakazy posłannictwa. W oczach pisarza — jak w oczach większości szlacheckich historyków — jest to tylko krwawy i okrutny zbrodniarz, wcielenie spuszczonej z łańcuchów ładu społecznego zwierzęcości. Nie broni swojej sprawy — służy za narzędzie tragizmu sprawy powstańczej.

Całem sercem jest Żeromski przy innych, najszlachetniejszych z szlachty, uwielbionych bezkrytycznie emisarjuszach — obu Olbromskich. Przyszli oto z myślą powstania, dokonanego przez „lud" obdarowany ziemią, aby paść pod kłonicami tego „ludu". Straszną ironją wydają się pisarzowi te słowa Szeli, które równie dobrze mogłyby uchodzić za konsekwencje doktryny: kiedyś tu przybył z zamiarem wyzwolenia chłopów, chodź z nami rżnąć panów, bo to właśnie jest nasz wróg. Nie śmierć, ale podeptanie przez rzeczywistość ideału, zaprzeczenie wierze całego życia ma stworzyć głęboki tragizm tych ludzi.

Tragizm ten jest raczej w zamyśle niż w realizacji. Wypadki rozwijają się bowiem w jakąś romantyczną awanturę, niewiarygodnie sztuczną i „teatralną" w złem znaczeniu słowa. Kolorowe przebieranki za turonia wprowadzają do dworu powstańców i pozwalają uciec kochankom. Zdarty z palca zamordowanego Cedry sygnet umożliwia ofiarę Ksawusia. Niczem w tragedji pseudoklasycznej wzniosła kochanka poświęca się dla wybrańca. Jak w melodramacie syn mordercy rozmiłowuje się od pierwszego wejrzenia w córce zamordowanego. Ponadto — ale i tego wystarczy, aby obedrzeć sztukę z tragicznej powagi.

To też wychodzi się z teatru z uczuciem dziwnie skłóconem. Prawie niesposób dotrzeć do przeżycia pisarza — wierzy się, że szczerego — poprzez złomy różnolitej, rozsypującej się formy. Temu nie może zaradzić żaden teatr. Reżyserja Perzanowskiej nadała ruch i siłę niewielkiemu tłumowi chłopów i bardzo umiejętnie w scenach zbiorowych wyzyskała doskonałe konstruktywne dekoracje Daszewskiego. Współpraca tych dwojga artystów daje bardzo dobre rezultaty — charakterystyczny, jednakowy w wyrazie aktorskim i plastycznym, styl widowiska. Z wykonawców, poddanych wyraźnie myśli reżysera, wyróżniali się: odzyskany znowu dla Ateneum Poreda (Hubert), Wyspiański (Staszek), Łuszczewski (Chwalibóg), Bonecka (Weronika). Dobrze z trudnej roli Ksawerego wywiązał się Tomaszewski. Zawiedli obaj starsi panowie-szlachta, rumiani i kukiełkowaci: Byliński (Cedro) i Orlicz (Olbromski).

BOHDAN KORZENIEWSKI

GODZINA Z JANINĄ MORAWSKĄ

Słońce, ciepło — jakby nie listopad. Stół pod czerwonym kartonem — i cisza. Za oknami nagie patyki gałęzi.

— Jaką etyką kierują się, postawione wobec dramatycznego konfliktu, bohaterki *Łańcucha*, matka i córka? To pytanie jest może za obszerne, poszukajmy pomocy w przykładzie: wyobraźmy sobie człowieka, który otrzymał policzek. W tych okolicznościach człowiek ustroju feodalnego zechce sam bronić swego honoru. Obywatel nowoczesnego państwa zwróci się do swej organizacji społecznej. Intelektualista czysty — być może — powie tylko: tamten pan jest odrażający...

— Nie wiem, taka reakcja intelektualisty byłaby płytka—napewno postąpiłby inaczej. Pan identyfikuje matkę i córkę zupełnie niesłusznie. Matka nie ma żadnego zorganizowanego systemu etycznego. Ulega wyłącznie impulsom — w ten sposób reaguje na jedynie ważną w jej życiu kobiecem sprawę mężczyzny. Córka rządzi się etyką świadomą. Złożom podświadomym, dziedzictwu krwi — przeciwstawia nabytek własnego doświadczenia i płynące stąd dedukcje. Moment katastrofy Ewy, to starcie tych dwu sił — w scenie wybuchu nienawiści do męża, gdy jej wola etyczna została przełamana przez podświadome. Umowa z mężem miała Ewie — i jemu — ocalić wolność. Moment zdrady, godziny nocnego czekania wprowadziły wolę do wolności, wolności tak wysoko cenionej, w konflikt z rzeczywistością. W Ewie poczyna górować kobieta z właściwym jej sposobem odczuwania; Ewa pojmuje, że człowiek nie jest wolny.

— Od więzów biologji, struktury fizjologicznej?

— Nietylko biologja, raczej już psychobiologja. Osnową *Łańcucha*, osnową może zatartą, jest właśnie historja wyłamywania się z owych więzów.

— Proszę Pani, dziś, jeżeli spotykamy jednostkę, to zawsze jednostkę uspołecznioną, związaną ze zbiorowością. Obserwacja praktyki wykazuje, że prawa jednostki oraz zakres jej działania biorą źródło i gwarancję w zbiorowości, do której jednostka się zalicza. Tak np. prawo strejku służy robotnikowi jako członkowi warstwy czy korporacji, nie zaś jako osobnikowi przyrodniczemu. Kradzież, mord — jako czyny jednostki izolowanej — pociągają za sobą społeczny odruch protestu i — sankcje. Ewa możliwość zabójstwa w pewnym momencie dopuszcza. Jak więc wygląda — i czy istnieje — jej hierarchja wartości? Przecież ta sama Ewa mówi także o pracy w szpitalu, o pracy dla cierpiącej ludzkości?

— Niewątpliwie Ewa swą łączność ze zbiorowością społeczną silnie odczuwa — od chwili, gdy udało się jej przez zamążpójście uniknąć opieki krewnych. Praca — dla Ewy — nie ma być tylko ekspiacją, ekspiacja jest czynnikiem wtórnym; czynnikiem istotnym jest organiczna potrzeba pracy. W takiej fazie nadchodzi silny uraz psychiczny: trup matki w prosektorjum. Nim ktokolwiek zdołała uratować swą wiedzą medyczną, Ewa zabiła człowieka, własną matkę — gdyż nie znalazła dla niej dobrego słowa. Idea, która miała być zwycięska i ratująca, przyniosła Ewie nowe motywy izolujące. W imię tej idei Ewa odepchnęła przecież matkę. Zdrada męża proces izolacji przyśpiesza: w Ewie rozgrywa się walka między pozycją społecznego dobra a systemem niekontrolowanych impulsów. Łączy się tu jeszcze motyw winy i kary. Gdyby Ewa przebaczyła matce, obrót spraw byłby inny, o wiele inny. Skończyłaby swe studja zawodowe, a wtedy — oparta o pracę — nie pozwoliłaby się porazić zdradą męża i zawiedzionem uczuciem osobistem.

Przez okno widać: po przeciwnej stronie ulicy budują dom. Wtem — lotem niedościgłym — spada z góry cegła i już od ziemi szybuje obłok rudy pyłu. Mruczę: „to przypadek i dziwność".

— A może byłaby Pani zdania, że nie czyn jest ważny, lecz jego intencja, podporządkowana wewnętrznym imperatywom? Przez *Gesinnung* rozumielibyśmy nie intencję, dającą się wykryć empirycznie, lecz głębszy jej podkład, intencję czystego ja?

— Ależ tak! Podobne stanowisko spotykamy dziś i w prawie karnem. Intencja jako motor, działanie prowadzący; chodzi o stopień i rolę tego udziału.

Przerwa, rodzaj namysłu — potem:

— Namiętność, myślę, że to stan dynamiczny złóż podświadomych; dziś, w epoce intelektu, niechętnie bierze się pod uwagę tę siłę. W kobiecie najczęściej uczucie bierze górę nad motywem racjonalnym — trudno byłoby zresztą mówić o winie Ewy.

— Analogje prawne trzeba traktować ostrożnie, etyka inną sferę ogarnia i organizuje. Może propozycja Barrèsa z *Le Jardin de Bérénice* będzie dla nas pomyślniejsza: *L'homme doit être jugé au nom d'états purement intérieurs?*

Pani Morawska pochyla głowę gestem nagłej decyzji i szczelnie okrywa się szalem. Twarz ma zasnutą milczeniem.

— Jeszcze — podejmuję — warto byłoby śledzić w Ewie walkę dwu stanowisk etycznych: jednego, które jednostkę podporządkowuje zbiorowości, i drugiego, indywidualistycznego. To indywidualizm, wsparty na uczuciu. Jakże go trudno ująć, wyznaczyć! Błąka się nad nim i echo Rousseau i echo sentymentalistów angielskich.

— Ewa czuła się zwycięska wtedy, gdy pracy swej nadawała przedłużenia o sensie społecznym. Że stało się inaczej — to właśnie jej dramat.

— Więc jednak życie zorganizowane i zbiorowe jest dla kobiety czemś tak obcem i trudnem. Czyżby kobiecie wystarczała kobiecość?

— Mówiliśmy o Ewie, zaczynamy mówić ogólnikami o kobiecie. Wypadek *Łańcucha* jest specyficzny: Ewa niewątpliwie jest kobietą, lecz nie kobietą przez duże K. Na stronę artystyczną, na rozwiązanie artystyczne kładę nacisk. Rozwiązanie artystyczne nie zawsze ma znaczenie szersze niż to, które z jego funkcji w dziele sztuki wypływa.

— Pani odpowiedź nasunęła mi na myśl aż — Czystą Formę St. Ign. Witkiewicza. Nie chce Pani jednak powiedzieć, o ile rozumiem, że zagadnienia poszczególne sprowadzają się w dziele artystycznem do pretekstu?

Zaprzeczenie, a jednocześnie pani Morawska wydobywa ze stosu książek *Teatr* Witkiewicza. Pokazuje mi tę książkę — i zaraz ją chowa.

— Nie, nie tak. Pretekst — to słowo ma sens aż nazbyt formalny. Chodzi mi o co innego. Poprostu, prawda artystyczna nie zawsze pokrywa się z prawdą życiową. Dziś tak często żąda się od autora, aby prawda artystyczna miała powszechnie obowiązującą funkcję normatywną — i stąd splot nieporozumień.

Nasila się szybkie słońce jesienne—i poczyna odchodzić. Gdy powracam, przez świeżą przestrzeń powietrza przelatują pierwsze promienie chłodu.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

WYDAWNICTWA PERJODYCZNE

SKAMANDER

Od kwietnia b. r. wychodzi znów *Skamander*, pod redakcją Mieczysława Grydzewskiego. Wznowienie *Skamandra* zbiegło się z powstaniem innego miesięcznika poetyckiego *Okolica poetów*. Brak takiego wydawnictwa dawał się zdawna odczuwać. W ubiegłym roku wychodziła wprawdzie w Chełmie Lubelskim *Kamena*, lecz to skromne choć wytrwale i regularnie wydawane pismo nie mogło w pełni reprezentować naszego czasopiśmiennictwa poetyckiego i z tego powodu, że w znacznej mierze poświęcone było przekładom z poezji obcej. A więc teraz mamy trzy miesięczniki ściśle poetyckie, przytem *Skamander* góruje nad pozostałemi zarówno objętością i piękną szatą graficzną (pomysłowe, barwne okładki i reprodukcje dzieł sztuki plastycznej w tekście, bo sam układ graficzny materjału wzorowany ściśle na dawnym *Skamandrze)*, jak i bogactwem i doborem materjału, oraz skupieniem co wybitniejszych sił poetyckich młodych i starych. Nie widzimy w nowym *Skamandrze* tylko przedstawicieli „awangardy", lecz znajdujemy tych młodych, którzy jak Miłosz, Zagórski, Łobodowski, wziąwszy z „awangardy" co się dało żywotnego, poszli własnemi drogami rozwojowemi, wyzwoleni od świeżej daty kanonów „integralizmu", „unizmu" i innych „izmów" poetyckich. Nowy *Skamander*, jak i dawny, nie reprezentuje żadnego programu czy kierunku poetyckiego, ambicją jego jest, zdaje się, dawanie jedynie dobrej poezji, szerzenie kultury dobrego wiersza, utrzymanie ciągłości tradycji poetyckiej. To też w tych szerokich ramach zmieścić się mogą Staff i Leśmian, i dawni Skamandryci: Tuwim (świetne przekłady z Puszkina i Niekrasowa), Lechoń, i Broniewski, i Marja Pawlikowska, i ich epigoni w rodzaju wirtuoza werbalizmu Karpińskiego, i „zdrajcy interesów klasowego awangardyzmu" — młodzi: Miłosz, Zagórski, Łobodowski, Szemplińska i Jastrun, i inni. Kto wie, czy wkrótce nie ujrzymy na łamach *Skamandra* i zupełnie „zawangardziałych" poetów, oczywiście tych prawdziwych twórców. Młode siły w *Skamandrze* przeważają i nadają ton. W dziale poezji przodują: Łobodowski (może zbyt rozgadany w ostatnich produkcjach), Miłosz i świetny Jastrun. W dziale prozy obok wybornej Szelburg-Zarembiny i Wittlina mamy Schulza, Promińskiego, Gombrowicza. Z dzieł dramatycznych znajdziemy: *Murzyna Warszawskiego* Słonimskiego i rozbuchaną groteskę Alfreda Jarry w przekładzie Boya. Bardzo interesująco przedstawia się dział artykułów i essayów. W dziale rozpraw ściśle poetyckich K. W. Zawodziński w nrz. 57 (1-szym) rozprawiał się z „awangardą" w artykule *Pegaz to nie samochód bezkołowy*. W nr. 59 w rozprawce *O rytmie i metrze* i w nr. 62 *Z dziejów polskiego wiersza* F. R. Siedlecki w sposób rzeczowy porusza zagadnie-

nia wersyfikacji i zdaje sprawę z nowszych poglądów na tę dziedzinę. Dobrze się stało, że p. Siedlecki przypomniał, jak wygląda problematyka tej części badań nad wierszem, bo niektórzy z naszych poetyckich teoretyków-reformatorów, usiłujący zrewolucjonizować rytmikę i metrykę, jak widać to z ich prac, zupełnie nie orjentują się nawet w najprostszych zagadnieniach rytmu. Tu wartoby im przypomnieć choćby gruntowną i wielostronną pracę K. Wóycickiego *Forma dźwiękowa prozy polskiej i wiersza polskiego.* (Sprawa rozróżniania systemów metrycznych polskiego wiersza bodajże tam została jasno postawiona). Prócz tych, dotyczących zagadnień specjalnych, znajdujemy jeszcze w *Skamandrze* bardzo dobre studjum Jerzego Stempowskiego o Andrzeju Malraux, artykuły Boya, Hulki-Laskowskiego, Władysława Kozickiego, „Przegląd teatralny“ prowadzony przez I. Krzywicką, i inne.

Nowy *Skamander* wypełnia lukę, jaka istniała w naszem poetyckiem czasopiśmiennictwie, a przytem charakter jego w odmłodzonym składzie współpracowników usuwa obawy o to, że może się zamienić w kapliczkę.

OKOLICA POETÓW

Numery 4, 5 i 6 *Okolicy poetów*, prócz sporej ilości wierszy całej falangi poetów młodych, młodszych i tych, co dopiero rozbijają skorupki poetyckiego jaja, prócz not i recenzyj oraz artykułów teoretycznych St. Czernika, przynoszą też szereg odpowiedzi na ankietę, rozpisaną przez redakcję czasopisma. Pytania ankiety brzmiały: 1. Czy dzisiejszy rozdźwięk między t. zw. poezją starą a poezją eksperymentalną („awangarda“) jest zwykłym objawem przemian ewolucyjnych, czy też wyrazem degeneracji jednej lub drugiej strony? 2. Jakie okoliczności mogłyby podnieść poziom współczesnej poezji polskiej? 3. Czy krytyka poetycka odpowiednio spełnia swe zadania i czego poeta żąda od krytyka? 4. Które z utworów poetyckich (nie tomów) z lat ostatnich mogą być uważane za wyraz niezależności od starych i nowych doktryn poetyckich? 5. Inne uwagi. — Samo sformułowanie pytań ankiety budzi sporo zastrzeżeń. Czy właściwy jest termin „poezja eksperymentalna“ dla kierunków poetyckich, usiłujących narzucić swe gusta ogółowi? Eksperymentowanie jest sprawą obchodzącą samego tylko twórcę, jest sprawą t. zw. kuchni poetyckiej. Eksperyment w nauce służy do badania, do stawiania i sprawdzania hipotez, celem znalezienia ogólnych praw, rządzących danem zjawiskiem. Eksperyment w poezji może też służyć dla celów badawczych i teoretycznych, ale od gotowego dzieła poetyckiego wymagamy, aby było tworem pełnym i skończonym (jak od każdego dzieła sztuki), a nie eksperymentem. A więc: albo poezja eksperymentalna nie należy do dziedziny tworów sztuki i jest sprawą warsztatów poszczególnych twórców, a nie sprawą ogółu, albo termin „eksperymentalny“ dla nowoczesnych kierunków poetyckich jest źle użyty i niewłaściwy. Jeśli mowa o eksperymencie, musi też odpaść sprawa degeneracji. Można mówić o błędach, pomyłkach. Ale co to jest „zdegenerowany eksperyment“? Tak samo ma się rzecz z degeneracją „poezji starej“. Może się degenerować poezja współczesna, można mówić o wypaczeniu smaku artystycznego, ale komu przyjdzie do głowy nazywać „objawami degeneracji“ dzieła dawnej poezji? Również pytanie drugie zawiera w sformułowaniu domysł niskiego poziomu poezji współczesnej. Któraż to stoi na tak niskim poziomie: czy „eksperymentalna“, czy „stara“, czy też wogóle niema w Polsce poezji, a kwitnie grafomanja? I o którą chodzi w pytaniu? Tyle co do sprawy sformułowania pytań ankiety. Odpowiedzi na nią przedstawiają dość ciekawy materjał, choćby z uwagi na to, że zabierają w nich głos wybitni przedstawiciele młodej poezji, w większości zwolennicy lub cisi sympatycy różnorakich nowoczesnych teoryj poetyckich. Ogólny ton tych odpowiedzi sprawia wrażenie, że na froncie teoretycznym i praktycznym poezji „eksperymentalnej“ panują nastroje rozbicia, niepewności, zawodu, cofania się ze zbyt wysuniętych stanowisk. Możnaby podzielić te odpowiedzi na trzy grupy: doktrynerów dialektyczno-formistycznych, społecznie nastawionych dialektyków materjalizmu dziejowego i szczerych twórców, prawdziwych poetów. We wszystkich odpowiedziach znajdziemy ziarna słusznych poglądów na poruszone w pytaniach sprawy, lecz najmniej ich w odpowiedziach teoretyków formistycznych, potępiających w czambuł wszystko w dziedzinie poezji, co w rzeczywistym rozwoju rozminęło się z dialektycznemi formułkami ich doktryn. Tym zapamiętałym bojownikom „unizmów“, „peiperyzmów“ i innych „xizmów“ można zacytować ku pamięci zdanie Kanta, dotyczące wprawdzie teorji poznania, ale słuszne i w odniesieniu do ich teoryj: „Jakkolwiek bowiem poznanie pod względem formy logicznej może być zupełnie poprawne, t. j. nie będzie samo w sobie sprzeczne, w każdym jednak razie może ono być sprzeczne z przedmiotem“. To też najciekawsze są i najwięcej zawierają słuszności zapatrywania uważnie patrzących na rzeczywistość poetycką prawdziwych poetów, np. Flukowskiego, choć i w nich przebija miejscami gorycz i animozje osobiste. Najlepsza chyba jest ostrożna i objektywna odpowiedź Jastruna. Zupełny zaś „mentlik“ i pomieszanie kryterjów estetycznych z politycznemi i społecznemi występuje u tych, co łączą formistyczne tendencje z materjalizmem dziejowym. Tak jest z odpowiedzią np. Czuchnowskiego. Rozważania jego są podobne w intencjach i w sposobie rozumowania do takiego np. typu poglądów: „Klasy posiadające obrały sobie jako potężną (*sic*) broń w walce przeciw kulturze proletarjackiej — strofkę i przestarzałą metaforę“ *(sic)*.

Jest to pogląd A. Łaszowskiego cytowany w *Lewarze* w jednym z artykułów. Komentarzy nie wymaga.

Tu chciałbym wrócić jeszcze do teoretycznych rozprawek redaktora *Okolicy poetów* St. Czernika. Timbre jego artykułów teoretycznych np.: o autentyźmie, fantazjotwórstwie i t. d. — skrupulatnych, ale w niewłaściwym kierunku przeprowadzanych prób analitycznych, powiększających czasem chaos rozróżnień i terminów, jest dość wyraźny: — to poczucie zawodu, jeśli chodzi o wartość dzieł i dokonań owej „eksperymentalnej“ poezji. Usiłowanie wprowadzenia np. kryterjum (nic nie mówiącego zresztą) autentyzmu poetyckiego — to, zdaje mi się, nic innego, jak stwierdzenie, że do oceny i hierarchizacji zjawisk poetyckich nie wystarczają tylko kryterja formy (szczególnie „formizmu“), lecz że ważnym, istotnie ważnym czynnikiem jest tu też wartość (wielkość, istotność) przeżycia twórcy (tu wkraczalibyśmy już na teren *ethosu* twórczości). A więc nawrót do zagadnień treści przeżycia, treści utworu — jednem słowem treści. Dobrzeby przeto było, aby Czernik jako redaktor skrupulatniej tępił w swem piśmie blagę werbalizmu, snobizm formistyczny i świerzbiączkę poetycką, które to wady poetyckie reprezentowane są w *Okolicy* w wielu utworach. Może zbyt wielu.

WŁ. SEBYŁA

PRZEGLĄD PRASY

BRZOZOWSKI A KATOLICYZM. Numer *Verbum* przynosi artykuł *Stanisława Brzozowskiego drogi do Rzymu*, w którym autor (Silvester) stara się naszkicować ewolucję Brzozowskiego. Autor motywuje nawrócenie Brzozowskiego z jednej strony przyczynami natury ideologicznej („Zmysł historyczny, zrozumienie znaczenia tradycji, odczucie powagi zbiorowego wysiłku toruje Brzozowskiemu drogę do zrozumienia kościoła powszechnego“), z drugiej zaś strony tragedją osobistą Brzozowskiego, który został odcięty od całego społeczeństwa i usunięty poza nawias życia kulturalnego. Katolicyzm Brzozowskiego, jedno z najciekawszych zagadnień w twórczości tego filozofa i krytyka, zasługiwał oddawna na baczniejszą analizę. Oczywiście wywody Silvestra nie wyczerpują tego zagadnienia; w każdym razie początek został zrobiony inteligentnie. Dziwić się należy, że katolicyzm w Polsce dopiero teraz przypomniał sobie Brzozowskiego; w każdym innym kraju napisanoby już wyczerpujące studja na temat katolicyzmu tak wybitnego pisarza jak Brzozowski. U nas zawsze musi się rzecz dobrze odleżeć...

VERBUM. *Verbum* jest pismem katolickiem kulturalnem. Niestety jednak jest ono zanadto akademickie i zbyt zapatrzone w przeszłość. I takie pisma mają swój cel i są potrzebne i godne szacunku. Nie zastąpią one jednak nigdy pism żywych, aktualniejszych, a tylko takie pisma mają dziś większe znaczenie, gdy chodzi o popularyzację pewnego poglądu na świat i walkę ideową. Życie kulturalne jest dziś zbyt żywe, żeby mu mógł nadążyć i wystarczyć kwartalnik, unikający zetknięcia z rzeczywistością współczesną. Chyba że się zgóry zrezygnowało z pragnienia wywarcia wpływu na współczesność kulturalną. Zarzuty te mniej dotyczą samego *Verbum*, więcej naszego katolicyzmu, mało dbałego o kulturę. Ale nawet od kwartalnika typu *Verbum* moglibyśmy wymagać więcej aktualności. W jednym numerze „historji“ poświęcono 80 stron, a nawet, jeśli doliczyć artykuł o Brzozowskim i list Brzozowskiego — 100 stron. Czy nie za dużo historji? Jeden, dość zresztą chaotyczny, artykuł Wyki o *Perspektywach młodości* — to za mało współczesności. Jeśli jedyne kulturalne pismo katolickie z niezbadanych przyczyn ma koniecznie być kwartalnikiem — to niechby przynajmniej bilansowało współczesne życie kulturalne. Wygodniej i spokojniej jest oczywiście przebywać w kraju czysto teoretycznych rozważań i w zagajnikach przeszłości. Ale wobec braku jakiegokolwiek pisma katolickiego, poświęconego współczesności, jest obowiązkiem *Verbum* uwzględnić także przykrą i niespokojną teraźniejszość. Chyba, że redakcji wystarcza oddziaływanie na małą kapliczkę wiernych. Czyż jednak w takim razie potrzebne jest pismo?

TŁUMACZ-PRZYJACIEL. Bardzo zajmujący artykuł *Stefan George i Wacław Rolicz-Lieder* umieścił w listopadowym numerze *Skamandra* Kazimierz Bazar. Przeczytanie tego artykułu należałoby przedewszystkiem polecić naszym „przekładaczom“ poezji. Bazar wykazuje, jak znakomity poeta niemiecki George zmieniał w tłumaczeniach swoich słabe wiersze Liedera w piękną i przekonywającą poezję. Urywki, które autor przytacza, pokazują, czem może być tłumacz — jak może albo z słabych nawet utworów stworzyć arcydzieła, albo też z arcydzieł zrobić nieudolną, grafomańską paplaninę. Niestety, jesteśmy zbyt często świadkami psucia arcydzieł. Tłumacz u nas prawie zawsze jest zdrajcą autora; rzadko tylko (Tuwim najczęściej) jego przyjacielem.

PRÓBY EPICKIE. W tym samym numerze *Skamandra*, obok kilku pięknych wierszy — słaby wyjątek z poematu *Scena przy strumieniu* Lucjana Szenwalda. Coraz częściej spotykamy próby epickie w poezji, ale próby te niestety są bardzo słabe. Wydaje się, że poemat Szenwalda pomnoży liczbę tych nieudanych prób. Zdecydowane prozaizmy, naiwna fantastyka, rytmika nużąca monotonją w dłuższej całości — nie pozwalają dobrze wróżyć poematowi Szenwalda. Interesującą innowacją jest wprowadzenie do *Skamandra* działu recenzyj z książek. Czyżby recenzje w *Wiadomościach Literackich* nie wystarczały?

KONSERWATYZM CONRADA. W nr. 45 *Wiadomości Literackich* znakomity artykuł prof. Józefa Ujejskiego o konserwatyzmie Conrada. Prof. Ujejski motywuje konserwatyzm Conrada założeniami jego ogólnego poglądu na świat. Conrad był pesymistą i z tego pesymizmu wynikał jego konserwatyzm. To pogłębienie ideologji społecznej Conrada, a właściwie ta metoda wytłumaczenia jej, świadczą, że prof. Ujejski najbardziej z wszystkich krytyków byłby predestynowany do napisania monografji o Conradzie. Tej monografji należałoby oczekiwać z niecierpliwością. Wydaje się, że byłaby ona wreszcie pierwszem objektywnem studjum o Conradzie, o którym krążą albo banalne ogólniki, albo też oczywiste nieporozumienia.

NORWID CZY NIE NORWID? W związku z książką Zygmunta Wasilewskiego o Norwidzie, Boy (*Wiad.* Lit. Nr. 46) rozpatruje twierdzenie Wasilewskiego, że w *Pogance* Żmichowskiej Norwid jest nietylko postacią epizodyczną wstępnego obrazka, ale i centralną postacią utworu. Boy nie godzi się na to twierdzenie, uważając, że w takim wypadku tradycja przekazałaby nam jakąś wiadomość o tem. Tymczasem tradycja zwraca naszą uwagę na inne postacie ówczesnej Warszawy. Niemniej Boy jest skłonny uznać, że „poetycka transpozycja przygód Norwida weszła w powieść w trakcie pisania, przeobraziła rysy bohatera i może wpłynęła na zmianę ogólnej linji utworu“. Gdyby twierdzenia Wasilewskiego lub Boya istotnie odpowiadały prawdzie, *Poganka* byłaby ciekawym dowodem, jak się postać Norwida odzwierciadlała w umysłach jego współczesnych, i pozwoliłaby nam stwierdzić, jak bardzo legendarny jest dla nas okres „warszawski“ literatury polskiej. Jednym z wielkich braków polskiej historji literatury jest to, że zahipnotyzowana postaciami „trzech wieszczów“, zaniedbała w rażący sposób inne okresy literackie. Objawem więc bardzo dodatnim jest badanie tych okresów; można przypuszczać, że przy takiej ogólnej rewizji wydobędzie się wiele interesujących talentów, niesłusznie zapomnianych, i wiele dotychczasowych opinij literackich ulegnie zmianie.

OBJEKTYWIZM NARODOWO-SOCJALISTYCZNY. *Nowe Czasy* w nr. 30 atakują działalność Wrocławskiego Instytutu Wschodniej Europy, który zajmuje się badaniem problemów teraźniejszości Wschodu europejskiego. Autor artykułu wykazuje, że pod pozornie objektywnemi wywodami niemieckich uczonych kryją się zaborcze tendencje polityczne. W badaniach Wrocławskiego Instytutu ma obowiązywać według słów jego dyrektora, prof. H. Uebersbergera, „ścisła naukowa metoda, niemniej ścisła objektywność, mianowicie taka, która odpowiada zasadom narodowego socjalizmu w odniesieniu do zagadnień polityki zagranicznej“. Jak ten objektywizm wygląda, świadczą cytacje z I tomu *Ostraum-Berichte*, podane w *Nowych Czasach*. Nauka niemiecka w bardzo wielu wypadkach już oddawna wykazywała dużą umiejętność propagowania zamaskowanych haseł politycznych — dokładna więc jej obserwacja jest obowiązkiem świadomości polskiej. Tymczasem najczęściej dostrzegamy obecnie w Polsce w stosunku do Niemiec albo nadmierną i pustą kurtuazję, albo ogólnikowe, papierowe wybuchy nienawiści. *Nowe Czasy* zajęły właściwe stanowisko, możeby prasa polska poszła ich śladem.

W. BĄK

K R O N I K A

Ś. P. PIOTR CHOYNOWSKI

Dotkliwą stratę poniosła literatura polska przez przedwczesny zgon ś. p. Piotra Choynowskiego, żołnierza I Brygady Legjonów Polskich, członka Polskiej Akademji Literatury. Zanim poświęcimy dłuższe wspomnienie zmarłemu powieściopisarzowi i noweliście, podajemy kilka dat z Jego życia i działalności.

Ś. p. Piotr Choynowski urodził się w 1885 r. w Warszawie. Uczęszczał do szkół realnych w Uralsku, potem w Samarze, a od r. 1896 w Warszawie. Jako student bierze udział w akcji strajkowej.

W r. 1910 odznaczony zostaje na konkursie literackim *Tygodnika Illustrowanego* za nowelę *Barowska*. W r. 1913 wystawia w teatrze krakowskim *Ruchome piaski*. Od r. 1914 walczy w legjonach.

W latach 1920 — 22 redaguje *Tygodnik Illustrowany*. W r. 1930 otrzymuje nagrodę Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy w Warszawie. Od 1933 r. jest członkiem Polskiej Akademji Literatury.

Wydał między innemi *Kij w mrowisku*, *Historja naiwna*, *Kuźnia*, *Dom w śródmieściu*, *Młodość, miłość, awantura*, *W młodych oczach* i in. Szereg prac ś. p. Piotra Choynowskiego przełożono na języki obce.

*

PROTEST

W dniach 22—23—24 b. m. odbył się w Poznaniu Zjazd Polonistów ze wszystkich środowisk akademickich, poświęcony twórczości Żeromskiego i Reymonta oraz zagadnieniom teorji literatury. W sobotę dn. 24 b. m. w południe, gdy miał się odbyć referat członka delegacji warszawskiej, mgra Dawida Hopensztanda, znajdująca się już od pewnego czasu na sali bojówka endecka w niesłychanie brutalny sposób zakłóciła tok obrad naukowych, żądając wśród wymyślań i pogróżek skreślenia referenta-żyda z listy referentów i usunięcia go z sali. Prezydjum Zjazdu, mimo najlepszej woli, nie było w stanie skutecznie przeciwstawić się aktowi terroru. Wobec czego delegacja warszawska Zjazd opuściła, poczem na ręce Prezydjum Zjazdu złożyła następujące oświadczenie:

„Delegacja Koła Polonistów S. U. J. P. w Warszawie oświadcza, iż opuszcza Zjazd Naukowy, ponieważ referat kol. Hopensztanda nie może się odbyć na równych prawach z innemi referatami Zjazdu i ponieważ nie istnieje możliwość utrzymania porządku obrad naukowych. Delegacja warszawska protestuje i ubolewa z powodu bezprzykładnego uniemożliwienia obrad naukowych przez zorganizowaną bojówkę. Delegacja warszawska z naciskiem podkreśla, że reprezentowane przez nią Koło Polonistów S. U. J. P. stoi na stanowisku niezależności nauki i konieczności bronienia tej niezależności przed aktami gwałtu i terroru. Jednocześnie delegacja warszawska stwierdza, iż postępowanie gospodarzy Zjazdu, t. j. Poznańskiego Koła Polonistów, odpowiadało w zupełności wymaganiom etyki naukowej“.

Podpisy członków delegacji: Stefanja Knisplówna, Jan Kott, Dawid Hopensztand, Franciszek Siedlecki, Stefan Żółkiewski.

Odpowiedzi Redakcji

L. Ś. w Warszawie. — Nowela *Ogień pod ziemią* drukowana nie będzie.

G. K. w Wilnie. — Artykułu o Żeromskim nie umieścimy.

J. K. w Warszawie. — Artykuł o inscenizacji *Kordjana* nie będzie drukowany.

J. H. w Dziśnie. — Wierszy *Odyssea* i *Bohaterom* nie umieścimy.

R. H. w Mszanie Dolnej. — Nadesłanych wierszy nie wydrukujemy.

J. M. w Warszawie. — Z artykułu o książce polskiej nie skorzystamy.

J. P. w Warszawie. — Wiersza *Sierpc* nie wydrukujemy.

J. C. w Warszawie. — Wiersza *Widzenie* oraz wierszy ś. p. B. M. nie umieścimy.

H. H. — Wierszy *Modlitwa pod obłokami* i in. nie wydrukujemy.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł.; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.